ORZEŁ BIAŁY

ZWYCIĘŻYMY

Polska walcząca na Wschodzie

ROK IV Nr 3 (93) NIEDZIELA 16 STYCZNIA 1944 R. CENA 20 MILS

W NUMERZE:

Krzywoj: Osusky kontra Benesz

P. Janecki: „Mali" sojusznicy

Stanisław Strzetelski: Na „którym miejscu"?

Zdzisław Broncel: „Virtuti Militari" (wiersz)

J. Cz.: Zagadnienia malarskie.

Dr Tadeusz Felsztyn: Armata, czy samolot?

A R P.

POLSKIE NON POSSUMUS

My Polacy nie możemy uskarżać się na brak zbawczych wskazań i cennych rad otrzymywanych z tylu stron w imię realizmu politycznego. Od pięciu zwłaszcza lat zasypywani jesteśmy mądrymi naukami na ten temat, wysuwanymi z coraz to innej strony. Głównymi naszymi mentorami w tej dziedzinie byli i są Niemcy, którzy zabrali się do edukowania nas w sposób im tylko właściwy. Starali się oni, mniej prośbą, a więcej groźbą — i to jaką groźbą — przekonać nas do „realizmu" w polityce, który zmierzał do poddanie się ich planom rozbiorowym. Edukacja nie udała się. Polacy okazali się za tępi, za mało wyrobieni, by pójść na ugodę równą śmierci.

Zanim jednak Niemcy zaczęli nam wbijać w głowy, na czym polega realizm polityczny, otrzymywaliśmy z innych stron bardziej dyskretne i kulturalne wskazówki, jak należy postępować w polityce światowej. Był to okres tzw. „appeasement" w stosunku do Niemiec, okres nadziei, że ustępstwami uda się poskromić i udobruchać kolosa niemieckiego. Pozwalano mu więc na wszystko: na uzbrojenie, niepłacenie odszkodowań, militaryzowanie Nadrenii, godzono się na zajęcie Austrii, zawierano z nim układy w Locarno, a ukoronowano to wspaniałe dzieło paktem w Monachium o rozbiorze Czechosłowacji. Przedtem jeszcze, choć nie było wtedy ustawy amerykańskiej Lease and Lend o pomocy materialnej dla sojuszników, pchano w Niemcy kredyty anglosaskie, ile się tylko dało. To była polityka „realizmu".

Tępi Polacy nie mogli tego zrozumieć. Sami ustępstw czynić nie chcieli, a innych ostrzegali. Składali protesty. Proponowali wojnę prewencyjną. Nadaremnie. Nie zwracano uwagi na „niedojrzałe, romantyczne i nierealne" zachowanie się narodu, którego właściwości charakteru już wówczas drażniły różnych międzynarodowych sybarytów, aferzystów i kuglarzy. „Realiści" byli jednak na tyle przyzwoici, że wobec oporu Polski godzili się ostatecznie na karmienie kolosa niemieckiego ze swojej spiżarni, a nie z naszej.

Świat jednak spał tak dalece, że w imię świętego spokoju skłonił „realistów" czeskich w r. 1938 do oddania Niemcom Sudetów. Spodziewano się uzyskać tą drogą długotrwały pokój. Tymczasem w niespełna rok otrzymano nową wojnę światową.

Przebudzenie nastąpiło w r. 1939. Dokonała go owa „nierealna" Polska rzucając Hitlerowi krótkie „nie". Oświadczenie nasze, wydawałoby się tak proste, że chcemy z Niemcami pokoju, ale nie za wszelką cenę, wywołało zdumienie. Podziałało ono ożywczo na wszystkich. Oczyściło zatęchłą atmosferę. Kończył się letarg. Ale jak długo trzeba było pracować, ile trzeba było przejść doświadczeń i zgryzot, by wreszcie wstrząsnąć sumieniem świata, by to, co uchodziło za mrzonkę, stało się faktem.

Wychodziliśmy z założenia, że kraj, który w pewnych okolicznościach dąży do pokoju lub kompromisu za wszelką cenę, jest zgubiony. Dotychczas też wszystko, co przeszliśmy z tego powodu, cała gehenna narodu polskiego, jego cierpienia łącznie z utratą wolności na swej ziemi nie zdołały nam podsunąć nawet myśli, że nasza ówczesna postawa była zła. Ale dlatego obowiązuje ona nas nadal. Wobec wszystkich. I na każdym miejscu. Obowiązuje ona również i resztę świata. Dzięki niej bowiem narody miłujące wolność mogły w r. 1939 podjąć wojnę z Hitlerem.

Mówiono wówczas nam i wielu Europejczykom oraz Amerykanom: czy warto walczyć o Gdańsk? Gdańsk, mimo całej swej urody i wartości, nie zasługiwał może istotnie, by z jego powodu świat stawał w płomieniach. Ale zarówno my, jak wielu Francuzów, Anglików i Amerykanów wiedziało, że nie chodziło wtedy o Gdańsk, ale o panowanie nad Polską, nad Europą, nad światem.

Jednocześnie z próbami aneksji Gdańska i drobnej na razie części Pomorza — co, jak wykazały dalsze kolejne propozycje niemieckie, było wstępem do zagarniania etapami całej Polski — rozwijał się plan osaczania i okrążania jej od południa. Po ściągnięciu do Berlina zalęknionego Hachy oraz ambitnego ks. Tiso, podpisano z obu „prezydentami" układy przyjaźni, które czyniły z Czech i ze Słowacji kraje lenne w stosunku do Rzeszy, niemieckie places d' armes, by przy ich pomocy narzucić pętlę na Polskę, odciąć ją od południa i dokonać jej rozbioru. Plan był tak prosty, że tylko ludzie ślepi lub złej woli mogli tego nie widzieć.

Ale dlatego też tępi Polacy nie poszli na kompensaty, które na wschodzie za swe aneksje na zachodzie proponował im Hitler. Za Pomorze mieliśmy dostać część Ukrainy, za Śląsk — współprotektorat nad Słowacją. Odrzuciliśmy. Bo ziemia swą nie frymarczymy. Ale Hitler uznał nas za wariatów, za naród paranoików.

Z iluż to więc stron słyszeliśmy, że jesteśmy naiwni, głupi, romantyczni, pozbawieni zmysłu politycznego. Nie przeczymy, że są narody mądrzejsze od nas, ale wydaje nam się, że i my mamy swój rozum, skoro jedni z pierwszych poznaliśmy się na „realizmie" ustępstw w stosunku do Niemiec i na „realistycznych" naukach Hitlera. Ale dlatego też po tych doświadczeniach przestaliśmy przejmować się zarzutami braku realizmu. Nauczyliśmy się, że w chwilach decydujących musi nam wystarczyć nasz własny rozum i nasza własna droga.

Zwykły zdrowy rozsądek, który ludzie zaczęli zatracać w przerażającym tempie w tych czasach realistycznych, mówił nam zawsze w chwilach ciężkich, a powinien był przypominać to również innym przytomnym narodom, że Polska jest istotnie zwornikiem równowagi europejskiej. Kto nią zawładnie, rządzi Bałkanami, Europą środkową, Bałtykiem. Po Kanał La Manche i po Dniepr i dalej jeszcze ustala się wówczas władanie jednego systemu.

Niebezpieczeństwo to — rysujące się przed naszymi oczyma przeraźliwie jasno — zaostrza poczucie naszego obowiązku. Każdy naród wtedy tylko utrzymuje się przy życiu, jeżeli może spełnić swe zadanie. Naszym zadaniem jest dbać o równowagę i bezpieczeństwo oraz o pokój w Europie środkowej i współdziałać z każdym, komu na tym również zależy. Innych międzynarodowych ambicji nie posiadamy. Ale dla tej gotowi jesteśmy wylać morze krwi i nie spocząć, dopóki jej nie zaspokoimy. Inaczej życie nie miałoby dla nas sensu.

W r. 1930 wiedzieliśmy, że roli tej nie spełnimy uległszy rozbiorowi. Wiedzieliśmy, że Polska kadłubowa nie będzie państwem wolnym. Pokój z Niemcami, który dałby nam Polskę obciętą nawet o skrawek Pomorza, byłby przez nas pokojem przegranym. Wybraliśmy dlatego wojnę. Dziś chcemy ją wygrać, tak jak inni sojusznicy. A więc co najmniej bez strat. Chcemy, by zakończyła się ona pokojem, a nie rozejmem. Chcemy, by za lat parę nie zawisła nad nami zawierucha światowa nr 3, której widmo zarysowało się już w wystąpieniach niektórych Amerykanów. Oto powody, dla których nie zapominamy, że do wojny światowej nr 2 doszło wskutek szukania przez długie lata „appeasement" za każdą cenę z zaborczością niemiecką. Oto dlaczego na wszelkie propozycje podważenia integralności naszego państwa, na sugestie bezwolnego poddania się nawałnicy, nauczyliśmy się odpowiadać: non possumus!

Non possumus w imię rozwagi politycznej i poczucia odpowiedzialności wobec świata, a nie szaleństwa i niedowarzonej fantazji. Inaczej bowiem postępować nie było nam wolno. Nie po raz pierwszy przychodziło nam być hamulcem i dzwonkiem alarmowym. W roli tej — nie zawsze mile widzianej przez tych, których trzeba budzić — postanowiliśmy wytrwać za wszelką cenę. Widzimy bowiem w tym naszą siłę i rację stanu. Dopiero porzucając tę postawę przestalibyśmy być potrzebni, przestalibyśmy istnieć.

W imię twardego więc realizmu, a nie ułudy wabiącej ludzi bądź słabych, bądź nieświadomych tego, co czynią, bądź wprost szarlatanów, rzucane było światu polskie non possumus. I dlatego tylko biliśmy się o prawa nasze w Gdańsku i o cząstkę Pomorza, bo nawet nie o całe Pomorze. Te skrawki Pomorza miały bowiem dla nas tę samą wartość, co każdy inny szmat ziemi polskiej, co pół Polski, co cała Polska.

SURSUM CORDA

WILLIAM FIDDIAM REDDAWAY, profesor uniwersytetu w Cambridge, jest jednym z najbardziej znanych współczesnych historyków Wielkiej Brytanii. Od dawna interesuje się Polską. Był jednym z głównych inicjatorów i współwydawców dzieła „Cambridge History of Poland", pisał również o Marszałku Piłsudskim oraz o najważniejszych zagadnieniach Europy środkowej i wschodniej. W Polsce był kilkakrotnie i włada biegle językiem polskim. Wybitny ten uczony angielski i ekspert zagadnień Europy wschodniej jest przyjacielem Polski. Na prośbę przedstawiciela „Orła Białego" w Londynie napisał dla naszego pisma artykuł „Sursum Corda" oraz za pośrednictwem redakcji „Orła Białego" przesyła Polskim Siłom Zbr. na Wsch. najlepsze życzenia.

Obecnie, w piątym roku wojny, niemożność brania czynnego udziału w walce mimo doskonałego wyszkolenia, rozgoryczą dziesiątki tysięcy Anglików. Prawie wszyscy jednak pozostają w łączności ze swym krajem i rodzinami, przynajmniej drogą korespondencji. Żaden z nich nie liczy się z możliwością ponoszenia dalszych strat terytorialnych na rzecz wroga, pewne też jest, że W. Brytania odzyska ziemie znajdujące się dziś pod okupacją.

Młodzież polska, choć bardziej giętka, znajduje się w znacznie mniej szczęśliwym położeniu od angielskiej. Obdarzeni nieporównanymi zaletami bojowymi, uzbrojeni w niezachwianą cierpliwość w cierpieniu, Polacy posiadają bardziej zapalne i mniej wyrównane charaktery niż niektórzy z ich sojuszników. Co więcej, smutnych chwil życia Polaków nie ożywia dziś i nie rozjaśnia kontakt z domem rodzinnym, ani nawet pewność, że to słowo „dom rodzinny" nie straciło dla nich dawnego znaczenia.

W czasach, gdy młodzież przybita — milknie, może starsi mają coś pożytecznego do powiedzenia? Polskie młode pokolenie, biorące udział w tej

William Fiddiam Reddaway

walce, czuje po raz pierwszy, że życie, że jego byt narodowy — jest niepewny. Przez wieki całe naród polski żył między potężnymi narodami, które odmawiały mu prawa do niepodległości. W ciągu pięciu pokoleń poprzedzających obecne prawo to zostało w znacznym stopniu obalone. Następnie przez dwadzieścia lat Polska znowu widniała na mapie Europy, by od r. 1939 zaznać nieskończenie brutalniejszych prześladowań niż w okresach poprzednich. „Czy pewne jest, że nasza wolna Ojczyzna znowu powstanie?" — Oto jakie pytanie muszą zadawać sobie dzisiaj młodzi Polacy. Wątpliwości żywione przez nich są tym większe, że w odróżnieniu od swych ojców, nie wychowali się oni w okresie rozbiorów. Miast należeć do różnych imperiów, które mogły ich powołać do walki jedno przeciw drugiemu, byli oni wolnymi obywatelami państwa narodowego, kroczącego naprzód w dużym tempie — i choć pozostało im jeszcze wiele do zrobienia — mieli jednak świadomość życiodajnego postępu. Te szybko wznoszące się szkoły i uniwersytety, doprowadzone do porządku miasta, środki komunikacji wszelkiego rodzaju, ta silna — dobrze wyszkolona armia, przepełnione kościoły, sale i boiska sportowe, to wszystko było sprawdzianem żywotności i zdrowotności narodu. Tym ostrzejszy ból nagłego i niesprawiedliwego powrotu do niewolnictwa. Wstrząs tego rodzaju łatwo może spowodować wśród młodych ludzi utratę orientacji; starsi wiekiem mają jednak to do siebie, że nie tak łatwo dają się wyprowadzić z równowagi. Jeden z angielskich przywódców powiedział: — „Zbyt często odnosiłem zwycięstwa i ponosiłem porażki, by to pierwsze miało mnie zbyt uradować, lub drugie zbyt przygnębić." Prawdopodobnie niewielu ludzi osiąga 70 rok życia nie przyswoiwszy sobie filozofii przygotowanego na wszystko człowieka. Filozofia ta osłabia każdy nagły wstrząs. Nauczyli się, że skutek następuje za przyczyną, podczas gdy wartości nie są już tym, czym się wydawały w młodych latach. Ta wypróbowana, stara prawda jest dziś bezcenna dla młodej Polski.

Przeszło 45 lat minęło od dnia, gdy stanąłem po raz pierwszy na ziemi polskiej. Nazwa „Danzig" (Gdańsk) nęciła mnie i gdy się tam znalazłem, wynagrodzony zostałem walką dwóch polskich dorożkarzy

(Dokończenie art. na str. 3)

KRZYWOJ

OSUSKY KONTRA BENESZ

Dr Stefan Osusky, Słowak, długoletni poseł Republiki Czechosłowackiej w Paryżu, znany był polskiej opinii jako wybitny zwolennik idei czechosłowackiej. Po upadku Francji nie powrócił już do służby państwowej i obecnie, nieco niespodziewanie dla nas, ostro występuje przeciwko Beneszowi i ludziom z jego najbliższego otoczenia.

W wydanej ostatnio broszurce *) Osusky szczegółowo uzasadnia, dlaczego uważa za konieczne zwalczanie Benesza, podając jednocześnie powody, dla których nie mógł wcześniej wystąpić ze swoimi poglądami.

„W r. 1939 było rzeczą niewłaściwą publicznie pisać o polityce słowackiej Benesza. Panowało wówczas powszechne przekonanie, że groźna katastrofa narodowa, jaka dotknęła Czechosłowację, nauczyła dr Benesza elementarnej prawdy politycznej, że bez narodowo spokojnej Słowacji Republika Czechosłowacka nie będzie miała dosyć wewnętrznej siły... aby móc przeciwstawić się krzyżowni. Mieliśmy zamiar wszystko zapomnieć i wszystko wybaczyć wierząc, że wspólnymi siłami zmyjemy hańbę kapitulacji... Zaufani dr Benesza zapewniali nas, że wypadki r. 1938 zrobiły z niego innego człowieka"... (str. 3).

Ponadto dr Osusky twierdzi, że początkowo miał zaufanie do obietnic czynionych Słowakom przez Benesza. Obietnice te nie zostały jednak dotrzymane. Autor przypomina z nich najważniejsze:

1. Jako minister spraw zagranicznych i delegat na konferencję pokojową w Paryżu dr Benesz złożył konferencji notę, w której zapowiedział ustrój federacyjny Czechosłowacji.

2. W oficjalnej nocie złożonej Radzie Najwyższej 20 maja 1919 r. dr Benesz oświadczył, że „Czechosłowacja będzie miała skrajnie liberalny ustrój, bardzo zbliżony do ustroju Szwajcarii".

3. Przywódcy Słowackiej Partii Ludowej (tj. Hlinkowcy) oficjalnie oświadczyli, że 18 grudnia 1935 r. partia ich przy wyborze prezydenta republiki (po śmierci Masaryka) głosowała na Benesza, ponieważ im solennie obiecał, że Słowacja w przeciągu roku otrzyma autonomię.

4. Dr Milan Hodża, Słowak, premier Czechosłowacji w krytycznym 1938 r., czołowy przestawiciel czechosłowackiej jedności, przebywa obecnie w Stanach Zjednoczonych. Zajmuje teraz, jak i Osusky, stanowisko krytyczne wobec Benesza. W jednym z amrykańskich czasopism słowackich Hodża w maju 1942 r. oświadczył, że jeszcze jako urzędujący premier opracował projekt wprowadzenia na Słowacji języka słowackiego do sądów i urzędów. Projekt jednak nie wszedł w życie wobec oporu niektórych ministrów — Czechów.

5. W przemówieniu radiowym, wygłoszonym w Pradze 5 października 1938 r., a więc już po ustąpieniu ze stanowiska prezydenta republiki, dr Benesz oświadczył, że „przede wszystkim trzeba się porozumieć ze Słowakami".

6. Dr Osusky powołuje się na osobistą rozmowę z Beneszem z sierpnia 1938 r., w której Benesz miał oświadczyć, że „Czesi i Słowacy są dwoma braćmi czechosłowackiej rodziny"; zgodził się również na zwołanie słowackiego sejmu, który posiadałby uprawnienia ustawodawcze w sprawach szkolnych, kulturalnych, gospodarczych, społecznych i zdrowia.

Ani jedna z powyższych obietnic nie została zrealizowana, oświadcza autor broszury. Co więcej, nawet obecnie, mimo trudnej sytuacji politycznej, w jakiej się znalazła Republika, nic się nie robi dla osiągnięcia porozumienia ze Słowakami. Przeciwnie, mnoża się wystąpienia polityków czeskich, z których wynika, że zdecydowali się oni na nowe odłożenie rozwiązania sprawy słowackiej na okres powojenny. I tak, płk Hurban, czechosłowacki poseł w Waszyngtonie, oświadczył w r. ub., że „ani prezydent, ani rząd, ani Rada Państwowa nie uważała się za kompetentnych w sprawie Czechów i Słowaków. To zagadnienie może być załatwione dopiero po powrocie do kraju".

Jakie są powody kunktatorskiego stanowiska Benesza? — zapytuje Osusky i uzasadnia je następująco: Benesz nigdy nie miał dobrej woli wobec Słowaków. W krytycznych momentach stosuje taktykę obietnic, których dotrzymać nie zamierza i których nie dotrzymuje, gdy sytuacja ulega poprawie. Obecne warunki wojenne dostarczają mu ponadto łatwego pretekstu do zamykania ust tym Słowakom, którzy upominają się o realizację autonomicznych zobowiązań. Aby nie dopuścić krytyków do głosu, postarano się, aby czechosłowacka Rada Państwowa objęła tylko elementy prorządowe. Nie wszedł do niej ani Hodża, ani dr Jan Paulíny-Toth, przedstawiciel Narodowej Partii Słowackiej, drugiego — obok hlinkowców — politycznego ugrupowania słowackiego, stojącego na gruncie autonomii. Nie weszli wreszcie przedstawiciele socjalistów. Słowaków rozproszonych na emigracji uzależnił Benesz od siebie albo przez powołanie ich do służby wojskowej, albo przez zapewnienie im jedynej formy egzystencji materialnej, tj. uchodźczego zasiłku. Dlatego też, wywodzi dalej Osusky, jedyny wolny i niezależny głos słowacki może dochodzić dzisiaj jedynie z Ameryki, gdzie istnieje swoboda wypowiedzenia się wobec rządu z siedzibą w Londynie. Zrozumiała jest więc rzeczą, że o postawę Słowaków amerykańskich idzie gra między autonomistami a centralistami. Osusky notuje niektóre charakterystyczne przejawy tej walki.

W depeszy do Rady Państwowej, wysłanej w grudniu 1939, a więc kiedy Osusky był jeszcze urzędującym posłem Republiki w Paryżu, wspomniany już płk. Hurban komunikował:

„Z wielkim trudem hamujemy wystąpienia rodaków przeciwko Osuskiemu. Jest oskarżony o nadużywanie osobistych ambicji przeciwko Beneszowi... Mamy nie potwierdzone informacje o paktowaniu Osuskiego z Habsburgami".

Osusky ostro polemizuje z powyższym wystąpieniem powołując się na szereg innych manifestacji organizacji słowackich w Ameryce. Jego zdaniem, ogromna większość opinii Słowaków zza Atlantyku stoi na gruncie autonomii. Rzekome wystąpienia przeciwko Osuskiemu, o których wspomina w cytowanej depeszy płk Hurban, są jedynie według autora broszury stosowaniem hasła dr Ripki, czechosłowackiego ministra propagandy, że „polityka składa się z 10% zasad i z 90% taktyki". (str. 15).

W przedwojnym nastroju Słowaków amerykańskich świadczy omawiana przez Osuskiego rezolucja pittsburska, podpisana 14 września 1942 przez 14 organizacji, reprezentujących pół miliona Słowaków. Podpisani zobowiązują się:

„zrobić wszystko, co jest w naszej mocy dla dopomożenia naszym braciom za Atlantykiem w ich walce o zrzucenie pęt nazizmu i w marszu do wspólnego zwycięstwa z Ameryką i ich sprzymierzeńcami, bowiem Słowacy i Czesi — którzy prawem przyrodzonym i prawem konieczności są sobie wzajemnie potrzebni — tylko przez zwycięstwo demokracji mogą wierzyć w narodową przyszłość odnowionej Republiki Czecho-Słowackiej na zasadzie równouprawnienia, jednakowych praw i jednakowych obowiązków, zgodnie z literą i duchem Karty Atlantyckiej i Czterech Wolności". (str. 17).

Brzmienie powyższej rezolucji, stwierdza Osusky, jest ponadto wyraźnym dowodem, że Słowacy amerykańscy, wbrew oskarżeniom oficjalnej propagandy, stoją ciągle na gruncie wspólnego państwa z Czechami.

Ostateczny cel, do którego zmierza antysłowacka polityka Benesza, wygląda według Osuskiego następująco:

Dla zbudowania wspólnego państwa i dla utrzymania większości przy demokratycznym systemie parlamentaryzmu konieczne było pozyskanie Słowaków. Stąd obietnice autonomii, dalekie jednak od realizacji. Gdy natarczywość zniecierpliwionych autonomistów wzrastała, zapowiadano wówczas realizowanie obietnic, dla zyskania na czasie. Równolegle starano się budować naród „czechosłowacki", co w praktyce było niemal jednoznaczne z zacieraniem słowackiej indywidualności narodowej.

Wybuch wojny, wywodzi dalej Osusky, z jednej strony pokrzyżował plany centralistów, z drugiej zaś jednak nieoczekiwanie wskazał im nowe możliwości. Obecna samodzielność Słowacji, jakkolwiek pozorna i według założeń niemieckich krótkotrwała, stanowi przecież dodatkowy krok naprzód w realizowaniu haseł autonomistycznych. Cokolwiek się powie o współpracy z Niemcami elementów stojących koło Tuki, Tiso i Macha, nie można nie doceniać rozwoju słowackich atrybutów własnego państwa. Dziś Czesi, dla nowego pozyskania Słowaków, nie mogą im ofiarować mniej od Niemców, ale wówczas efekt wysiłków budowania czechosłowackiego narodu stanie pod znakiem zapytania.

Taka sytuacja skłoniła Benesza do podjęcia próby zlikwidowania po wojnie wszelkich żywiołów słowackich opornych wobec centralizmu praskiego — pod pretekstem likwidacji zdrajców i sprzedawczyków.

„Benesz... o ile w Czechach chce stosować zasadę odpowiedzialności indywidualnej za zdradę stanu, o tyle do Słowaków będzie stosować zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Propaganda prowadzona przez rząd czeski utożsamia Tukę i Macha z całym narodem słowackim, ale władz Protektoratu z narodem czeskim nie utożsamia. Pod pretekstem, że chodzi tu o ukaranie zdrajców, rząd Benesza chce karać cały naród słowacki". (str. 20).

Prawa karania zdrajców Osusky Beneszowi odmawia, bowiem

„człowiek, który wbrew ustawie jaką zaprzysiągł, udzielił zgody na rozczłonkowanie Republiki... nie ma prawa ani sądzić, ani karać". (str. 12).

Aby mieć wolne ręce w sprawie słowackiej i teraz i po wojnie, prezydent demokratycznej republiki dąży do skupienia w swoich rękach władzy dyktatorskiej — Osusky cytuje odpowiednie poglądy dr Jarosława Stránskiego, czechosłowackiego ministra sprawiedliwości:

„Benesz jest świadomy swej mocy i dlatego zmienia ustawy z własnej mocy... nasza akcja za granicą ma wyraz autorytatywny". (str. 22).

W ostatecznych wnioskach nie cofa się Osusky przed sformułowaniem bardzo ostrych zarzutów pod adresem Benesza. Stwierdza, że polityce jego uważa za złą i szkodliwą dla trzech istotnych przyczyn:

1. dlatego, że jest niesprawiedliwą wobec Słowaków,

2. dlatego, że stawia pod znakiem zapytania wznowienie i trwanie Republiki Czechosłowackiej,

3. i wreszcie dlatego, że sabotuje wojenny wysiłek sprzymierzonych narodów i pomaga Trzeciej Rzeszy.

Pierwszy zarzut znalazł w oczach Osuskiego dostateczne uzasadnienie w tym wszystkim, co było powiedziane o nie dotrzymanych obietnicach.

Drugi punkt Osusky rozwija w dalszym ciągu:

„Nie mam żadnej wątpliwości, że ucisk słowackiej sprawy... skończy się katastrofą państwa czechosłowackiego... Gdyby Anglicy zaczęli podobnie traktować Szkotów, jest rzeczą pewną, że Wielka Brytania stałaby się terenem domowej wojny... Polityka wynaradawiania osiągała w przeszłości sukcesy tylko wtedy, gdy wynaradawiany lud był surowym materiałem etnicznym... Ale taka polityka wobec Słowaków jest skazana na niepowodzenie... Doprowadziłaby jedynie do trwałego odsunięcia się Słowaków od Czechów". (str. 28).

A więc, zdaniem autora, Słowacy osiągnęli taki stopień narodowego uświadomienia, że na politykę czechizacyjną jest już za późno. Próba kontynuowania tendencji centralistycznych pogłębi tylko różnice między obydwoma narodami.

I wreszcie najostrzejszy trzeci zarzut:

„W wojnie totalnej nie wojuje się jedynie samolotami, czołgami, karabinami maszynowymi... ale i polityką, tj. hasłami, które uciśnionym narodom dają wiarę... w lepszą narodową i indywidualną przyszłość. Tylko wiara w lepszą narodową przyszłość da Słowakom w ich kraju wolę i siłę nie poddawania się niemieckiemu uciskowi... I ta wiara w rozstrzygającej chwili nakaże im powstać i zadać ostatni cios Niemcom... Jest zaś rzeczą jasną, że pokarm dostarczany przez beneszowskie radio w Londynie nie podtrzyma Słowaków w kraju... Nieustanne zapewniania, że mają „swojego prezydenta", jest dla Słowaków słabą pociechą. Był ich prezydentem przez 3 lata i mieli od niego tylko obietnice". (str. 30).

Przy tej sposobności atakuje Osusky premiera czechosłowackiego, ks. Szramka. Wypomina mu prohabsburskie nastawienie z przed wielkiej wojny i zarzuca mu, że przez 20 lat Republiki był „zatwardziałym nieprzyjacielem Słowaków".

„Szramek reprezentuje to wszystko, co dla Słowaków jest polityczne i narodowo całkowicie wrogie". (str. 31).

Z powyższych uwag wysuwa Osusky swój czwarty zarzut, że

„głoszenie w radio londyńskim czechosłowackiego centralizmu — jak to robi rząd Benesza — jest pomaganiem Hitlerowi w jego walce politycznej ze zjednoczonymi narodami". (str. 31).

Dr Osusky zamyka swoje krytyczne uwagi przeprowadzeniem porównania ze stosunkami francuskimi. Wielu uczciwych Francuzów, a nawet Anglików i Amerykanów wyobrażało sobie, że odrodzenie narodu francuskiego można będzie powierzyć Petainowi. Nadzieje te zawiodły. Człowiek, który kapitulował, nie może być wodzem odrodzenia. Zarazki kapitulacji sparaliżowały poczynania marszałka. Życie jest protestem przeciwko kapitulacji, a przyszłości narodu nie można budować na negacji życia, kończy Osusky.

*) Dr Stefan Osusky „Benes a Slovensko", wydawnictwo „Parada", Londyn, 1943, str. 32.

„MALI" SOJUSZNICY

(Korespondencja własna „Orła Białego" z Londynu)

Londyn, w grudniu 1943 r.

Komplikacje w Libanie przypominają znowu światu o istnieniu kontynentu europejskiego z jego narodami, o czym wielu ludzi wolałoby zapomnieć. Kłopoty z Francuzami w Libanie przyszły bezpośrednio po kłopotach z Jugosłowianami, w okresie podróży Benesza do Moskwy, przy powracającej raz po raz sprawie stosunków rosyjsko-polskich.

Narody stałego lądu europejskiego są w niewoli niemieckiej. Ale ich powiernicy w tej czy innej postaci znajdują się w Londynie i każdy problem europejski ma swoje odbicie na tutejszym terenie.

Jacyż to są ci powiernicy Europy, owi przedstawiciele „małych" sojuszników w obozie zjednoczonych narodów?

Najsilniejszym z nich, mimo wszystko, jest Francja. Weszło w zwyczaj w niektórych kołach polskich lekceważenie Francji współczesnej. Jest to duży błąd. Francja, mimo że bardzo skłócona wewnętrznie i mimo swej zmarnowanej karty wojennej, ma dużo do powiedzenia. Jeden z publicystów brytyjskich zwrócił niedawno uwagę, by nie przeceniać francuskich kłótni. Taki już jest francuski styl polityczny i temperament narodowy. Kłótnie dowodzą, że nie ma martwoty i że jest o co się kłócić.

W istocie najsilniejszym z przywódców francuskich jest wciąż jeszcze marszałek Petain, który w okupowanej wojskowo przez Niemców metropolii ma w ręku cały aparat administracji cywilnej i znaczne, na wzór niemiecki zorganizowane, siły policyjne. Rola jego we Francji nie jest mniejsza niż rola de Gaulle'a w okupowanej przez Amerykanów Afryce. Nie należy też sądzić, że „Francja Walcząca" widzi w starcu z Vichy zdrajcę, jak by to można wnosić z jej prasy.

„Francja Walcząca" jest oficjalnie bardzo demokratyczna. Ale w rzeczywistości stosunki ułożyły się tak, że wszystko w ręku ma obecnie gen. de Gaulle. Kiedy w swoim czasie doszło do różnicy zdań między generałem a jednym z jego ministrów, odbyła się następująca, iście francuska, wymiana zdań:

Minister: „Generale, ja jestem takim samym dobrym patriotą jak Pan."

Generał: „Może być, że jest Pan równie dobrym patriotą jak ja, ale nie jest Pan już komisarzem spraw zagranicznych."

Polityka francuska szuka równowagi w obozie alianckim. Gen. Giraud chciał ją widzieć w oparciu się o Amerykę przy mniejszej zależności od Anglii. To się okazało nierealne. De Gaulle szuka też równowagi w zbliżeniu się do Sowietów. Ostatnio wszakże ożywienie akcji komunistycznej w świecie arabskim w Afryce nie zdaje się tu być najlepszą wróżbą.

Następnym co do znaczenia „małym" sojusznikiem, choć z konieczności politycznych odsuwanym nieco w cień, jest Polska. Z punktu widzenia angielskiego powiernicy Polscy przedstawiają się na tle innych grup europejskich bardzo przyzwoicie.

Przeciwko Polakom prowadzona jest podstępna propaganda, jak przeciwko nikomu innemu. Ostatnio ukazywać się np. zaczęło w Londynie pisemko „Trybuna Ludu", o którego istnieniu dowiedzieli się Polacy londyńscy z artykułu „Prawdy" moskiewskiej, cytowanego przez prasę lewicową angielską. Normalną metodą tej propagandy jest zarzucanie Polakom „faszyzmu" i insynuowanie sympatii hitlerowskich. Argument „faszystowski" służy m. in. do podważania prawności władz polskich, mimo że właśnie rząd polski jest jedynym z niewielu rządów uchodźczych posiadających nie wątpliwą legalność.

Dziwna rzecz, że równocześnie nikt jakoś nie podaje w wątpliwość prawności władzy dra Benesza. A przecież tytuł jego prezydentwa jest więcej niż wątpliwy, a metody wewnętrzno-polityczne polegają na zamykaniu opornych Czechów w obozach internowanych, bądź w lepszym wypadku, zmuszaniu ich do wyjazdu za ocean.

Jaki jest stosunek kraju do rządu Benesza; nikt dobrze nie wie. Być może można by go streścić w następujący sposób: „Hacha jest naszym Petain'em, prawnym prezydentem ratującym co można. Benesz jest naszym de Gaulle'm, uznajemy w nim reprezentanta wobec koalicji, ale nie rzeczywistego „prezydenta"." Jeszcze trudniej powiedzieć coś o Słowakach.

Prasa brytyjska toczyła gwałtowną polemikę ostatnio na tle spraw jugosłowiańskich. Jugosławii zagrażają dwie sprawy. Spór chorwacko-serbski o Bośnię, który stał się przyczyną rozbicia rządu koalicyjnego i zastąpienia go urzędniczym i sprawy komunizmu. Partyzanci Tity są liczniejsi obecnie od oddziałów armii Michajłowicza. Jak opisywały dzienniki brytyjskie, na spotkanie wysłannika brytyjskiego w Dalmacji wyszedł oficer serbski w angielskim „battle-dressie" z czerwoną gwiazdą na czapce. Gwałtowną obronę Serbów przed Chorwatami i bolszewikami prowadzi red. Voigt w swoim „XIX Century and After" oraz na terenie klubu „Middle Zone", grupującego przedstawicieli narodów bałkańskich, naddunajskich i Polski.

Konferencja moskiewska wywołała echa niepokojące w tym zespole. Na jednym z ostatnich zebrań przedstawicieli Rumunów wołał dramatycznie: „My już tu wśród was nic nie mamy do roboty, nie ma tu dla nas miejsca".

Grecy wprawdzie nie mają kwestii wewnętrznej w rodzaju chorwackiej, ale problem czerwonych partyzantów jest dla nich palący. W samym rządzie jest wielu republikanów. Król wyraził gotowość oddania swej władzy do dyspozycji narodu po uwolnieniu terytorium.

Dużą natomiast godnością odznaczają się środowiska norweskie i holenderskie. W sprawach odbudowy powojennej, które teraz aktualizują się w związku z rozpoczętą konferencją tzw. UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) w Ameryce, rząd holenderski odgrywa rolę herolda sprawy mniejszych narodów.

P. Janecki

UNITED FILM SERVICE PALESTINE LTD.
13, ROTHSCHILD BOULEVARD TEL-AVIV TEL. 4234-5 P. O. BOX 2162
RÓWNIEŻ: Jerozolima, Haifa, Kair, Aleksandria,
Port Said, Ismailia, Suez
KONTRAKTORZY FILMOWI WOJSK POLSKICH I BRYTYJSKICH

STANISŁAW STRZETELSKI

NA „KTÓRYM MIEJSCU"

(Korespondencja własna „Orła Białego" z N. Jorku)

X — jest Number 1 geografii amerykańskiej; Y — był na 4 miejscu przy egzaminie dyplomowym; miasto Z. stoi na 7 miejscu tabeli wzorowej gospodarki komunalnej... Zdania takie, wypowiadane w tonie ścisłej rzeczowości, słyszy się w Ameryce na każdym kroku, ponieważ spełniają one tutaj pożyteczną funkcję stenograficznej prezentacji.

Amerykanie lubują się w klasyfikowaniu wszystkich i wszystkiego. Robią to gruntownie i precyzyjnie, pragną ściśle i dokładnie wiedzieć, na „którym miejscu" należy ustalić danego człowieka, grupę, wartość a nawet ideę. Stąd wszelkiego rodzaju tabele kolejności ocen i szacunków, stąd poważna stosunkowo rola różnych ankiet statystycznych w rodzaju „pollów" znanego Instytutu Gallupa.

Poza klasyfikowaniem wyczynów technicznych, sportowych, naukowych i artystycznych klasyfikuje się w Ameryce również wartość społeczną i cywilizacyjną poszczególnych grup narodowych. Wiadomą i uznaną jest na przykład rzeczą, że na pierwszym miejscu stoją Anglosasi i Holendrzy, że później idą Szwedzi i Duńczycy, że pod względem gospodarczym i organizacyjnym wysokie miejsce zajmuje grupa niemiecka.

A Polacy?

Przed 60 laty Polacy stali blisko szarego końca tabeli, której dolny kres stanowi masa murzyńska, odgraniczona od białych bronzowym pasem Mulatów i Kreolów. Nędza, sklejona z polskim wychodźcą, wysoki procent analfabetyzmu i wynikająca stąd trudność w nauczeniu się języka angielskiego zepchnęły początkowo polskich wychodźców na jeden z najniższych szczebli drabiny gospodarczo-społecznej. Proces wydobywania się z grzązkiego gruntu nędzy proletariackiej najpierw jednostek, a później grup całych odbywał się stopniowo i powoli. Trwał całe lata. Wychodzcy anglosascy, irlandzcy, skandynawscy, a nawet czescy przyjeżdżali z kapitałami, ze znajomością języka, albo ze stopniem wykształcenia ułatwiającym szybkie nauczenie się angielskiego i z łatwością wchodzili w zasiedziałe ugrupowania emigracyjne.

Znaczna podaż kwalifikowanej pracy, połączona z wysokim stopniem specjalizacji tworzyły na przełomie XIX i XX stulecia zaporę, zdawało się, nie do pokonania dla polskiej masy wychodźczej w U.S.A. W opowiadaniach starych wychodźców jeszcze dziś przebija nuta tragicznego patosu, w którym polski Balcer, oszołomiony i bezbronny stawiał swe pierwsze kroki na gruncie amerykańskim. Surowe warunki walki o byt wdeptywały polskie ładunki okrętów emigracyjnych na dno eksploatowanej bezlitośnie taniej siły roboczej.

Przez długi czas było dla mnie nie odgadnioną zagadką, jak się to stało, że w okresie kilku dziesiątków lat polskie wychodźstwo w Ameryce zdołało wydźwignąć się z tych nizin i zająć wprawdzie nie jedno z naczelnych, ale bądź co bądź poczesne miejsce na drabinie społecznej w U. S. A. Bo gdy przed 60 laty przeciętny Amerykanin nie dostrzegał właściwie Polaków w bezimiennej narodowo masie proletariackiej, dziś nie tylko przyjaciel, ale obiektywny przeciwnik nie odmówi Polonii amerykańskiej słów uznania i szacunku.

Do rozwiązania zagadki tej metamorfozy dopomógł mi przypadek. Zdarzyło mi się poznać pana F., właściciela polskiego zakładu tapicerskiego w jednym z miast w pobliżu New Yorku. Duży stosunkowo warsztat, trzy własne domy, rachunek w banku, starannie wychowane dzieci. Ponieważ wiedziałem, że p. F. przybył z Polski przed 30 laty, a zakład ma już od lat 20, zapytałem go, czy z Polski przyjechał już jako tapicer.

— Nie — odpowiedział — przyjechałem do Ameryki jako młody chłopak wprost ze wsi lubelskiej bez żadnego fachu.

— Jakżeż więc pan doszedł do swego warsztatu?

— A no, łatwo nie było. Nie mając w ręku fachu i nie znając języka musiałem po przyjeździe do Ameryki pracować jako niewykwalifikowany robotnik przy rozbiórce domów, przy pracach ziemnych, przy noszeniu ciężarów. Gdy już mogłem porozumieć się po angielsku, postanowiłem zostać tapicerem. Ale do jakiej fabryki pójdę, to mówią: „A doświadczenie masz, a do unii należysz?" Na praktykę nie przyjmują, do unii biorą tylko fachowców. Istna ślepa ulica! Cóż było robić? Nająłem się do jednego tapicera, do wypychania poduszek za płacę dwa razy niższą, niż mogłem zarobić przy rozbiórce domu. Ale byłem zadowolony, bo mogłem z boku przyglądać się, jak oni to robią. I w każdej wolnej chwili notowałem sobie, jak się to robi, i skąd sprowadza się materiały. A wieczorami rysowałem. Po czterech tygodniach poszedłem do innego zakładu, także za bardzo niską cenę i tam dokładnie przyglądałem się innym robotom tapicerskim.

I tak pan F. głodował długie, długie miesiące, zmieniał sześć czy siedem razy posady, „podglądał z boku", pracował za psie pieniądze, aby wydrzeć starannie strzeżoną tajemnicę fachu i specjalności. Mdliło go często z głodu, zsechł i zczerniał, czasami chciał już wracać do pracy niewykwalifikowanej, która wprawdzie nie dawała żadnych perspektyw, ale zapewniała „na dziś" jakie takie życie...

Po roku nędzy, upokorzeń i 16-godzinnej na dzień pracy pan F. wygrał nie byle jaką wojnę. Wojnę z bezlitosnym światem maszyny i specjalizacji. Wbrew uniom, wbrew zazdrosnym kolegom, wbrew fabrykantom nauczył się... Jeszcze dalszy rok pracy już w charakterze rzemieślnika wielkiej fabryki, rok dobrych zarobków, ale i półgłodu, bo większość „pajdy" trzeba było odkładać na założenie własnego warsztatu i pan F. stanął mocno na nogach.

To, co Szwed, Niemiec, Irlandczyk i Czech przywożą ze sobą już z kraju, albo bez większego trudu uzyskują na miejscu, to polski wychodźca zdobywać musiał za cenę niewiarygodnego wprost zaparcia się siebie, heroicznego uporu i wytrwałości. Bo pan. F. nie jest jakimś odosobnionym wzorem pracowitości, wytrwałości i oszczędności. Losy jego są tylko klasycznym przykładem zwycięskiej walki, jaką stoczyła większość „pierwszych pokoleń" polskich w U. S. A.

Oczywiście, że w walce tej znakomicie dopomogły wychodźcy polskiemu wielkie organizacje polskie oraz wysiłek polskiej szkoły, ale w rezultacie zadecydowała przede wszystkim ze stali zbudowana wola i wytrwałość chłopa polskiego, te cechy, które nie tylko w literackim frazesie, ale w rzeczywistości surowej i ciężkiej walki o byt dowodzą, że „chłop potęgą jest i basta!"

Tym uchodźcom polskim, którzy w Ameryce osiedli na roli było — rzecz jasna — łatwiej. Przywieźli ze sobą umiłowanie pracy i fach. Jeśli jednak chodzi o „fach", to i tu trzeba było przestawić się z typowej gospodarki polskiej na wysoki stopień specjalizacji. I znowu za cenę jakżeż ciężkiego trudu, początkowych rozczarowań i niepowodzeń przekształca się wychodźca polski w „farmera". I to nie byle jakiego! Kamieniste, a jednak tak urodzajne dorzecze Connecticut było widownią trzydziestoletniego zaciętego „pojedynku" między Jankesami a Polakami. Jankesa zmogła żmudna praca przy oczyszczaniu żyznej gleby z kamienia. Polacy wyzyskali to i wykupili ziemię, a po pracy jednego pokolenia dorzecze Connecticut stało się jednym z najrentowniejszych, a w znacznej części polskich okręgów rolniczych w U. S. A. W całym szeregu specjalności rolniczych (uprawa tytoniu, kartofli, cebuli) stoją polscy farmerzy na pierwszym miejscu, a już bezapelacyjnie biją wszystkie inne grupy narodowe pod jednym względem. Polski farmer ma rekord „przywiązania do roli", gdy inne grupy narodowe dały się w mniejszym lub większym stopniu porwać wciąż rosnącej fali ucieczki do miast.

Jeśli byśmy mieli w odpowiedzi na postawione w tytule artykułu pytanie zbilansować „miejsce" polskiego wychodźstwa w tabeli wartości społecznych U. S. A., należy stwierdzić, że:

1) wobec zupełnej nierówności szans przy starcie i szalonych „handicapów", z jakimi się musiały porać „pierwsze pokolenia" wychodźstwa polskiego, osiągnięte przezeń wyniki stawiają je na jedno z pierwszych miejsc w tabeli wartości moralno-społecznych.

2) Ta sama nierówność szans przy starcie uniemożliwiła Polonii amerykańskiej zdobycie takiej siły gospodarczej, jaka by odpowiadała jej cnotom i wartościom społecznym.

Jakkolwiek polski robotnik, rzemieślnik i kupiec wysforowali się dziś już na poziom na przykład niektórych grup narodowych południowo-europejskich, to jednakże w masie ustępują oni jeszcze pod tym względem zdecydowanie Anglosasom, Skandynawom i Niemcom. By w tej dziedzinie osiągnąć dalsze sukcesy, trzeba było, aby heroiczna walka o prawo do życia dziadów i systematyczny a uparty trud ojców pozwoliły wnukom na wyprodukowanie warstwy polskiej inteligencji i organizatorów życia gospodarczego. Ten proces w sensie masowym dopiero się zaczął, ale postępuje niezwykle szybko.

Byłoby jednak błędem, gdybyśmy rozważania na temat "miejsca" polskiego wa-merykańskiej tabeli wartości cywilizacyjnej ograniczyli do zagadnienia społeczno-gospodarczego. Bo w kompleksie ocen obserwatora Polonii amerykańskiej jest obok uznania dla wysokich cnot społecznych jeszcze jeden motyw, motyw czasami entuzjastycznego, a czasami jak gdyby zakłopotanego — podziwu.

Zaczęło się to przed laty równo 25. W czasie pierwszej wojny światowej, w parę miesięcy po mobilizacji, prasa amerykańska ujawniła rewelacyjne cyfry. Oto w armii amerykańskiej znalazło się — i to przeważnie w charakterze ochotników — 17 proc. Polaków, gdy Polacy w U. S. A. stanowią niespełna 4 proc. ogółu ludności. Owe 17 proc. nie obejmowało, oczywiście, dziesiątek tysięcy Polaków amerykańskich, którzy zgłosili się do armii polskiej. Wymowa tych faktów, poparta nadzwyczajną odwagą i ofiarnością polsko-amerykańskiego żołnierza na polu bitwy, zaprezentowała Polonię amerykańską w nowym zupełnie świetle. Nie wybrane jednostki, ale masa polska rzuca bez wahania spokój i intratne „joby" w przemyśle i dobrowolnie idzie do walki. Zjawisko to, które zresztą powtórzyło się w obecnej wojnie, przyjęte zostało początkowo przez opinię amerykańską jako piękny wyraz romantyzmu polskiego. Ale wychodźca polski w U. S. A. nie jest romantykiem. Jest po prostu ofiarnym obywatelem i patriotą w najbardziej pozytywnym tego słowa znaczeniu.

„Porywy romantyczne zapalają się świetnym blaskiem entuzjazmu i później — gasną. A ofiarny wysiłek krwi i trudu wojennego Polonii amerykańskiej był i jest tak równy, tak uparty, tak systematyczny, jak była ongiś walka o byt stoczona przez pionierskie pokolenia polskich emigrantów. I oto — nowa rewelacja. Polonia, w sensie amerykańskim raczej uboga niż zamożna, staje w czasie obu wojen światowych na jednym z pierwszych miejsc w subskrypcjach pożyczek wojennych. Milionerzy składają 10 proc. czy 15 proc. swych majątków, polski emigrant oddaje połowę, a czasem wszystkie swe oszczędności, opodatkowując się ponad wszelkie ustalone normy.

Oto, co świeżo w październiku 1943 pisze jedno z pism amerykańskich „Citizen" z Auburn:

„Wiele jednostek i organizacji jest dumnych z tego, czego dokonało w tej trzeciej kampanii o subskrypcję pożyczki wojennej. Niektórzy mają powód do dumy, lecz wszyscy oni powinni wziąć pod uwagę pomoc, jakiej siłom amerykańskim i sprzymierzonych na froncie udzieliła stosunkowo nieliczna grupa polska z Auburn.

„Zaledwie rozpoczęła się sprzedaż bonów wojennych ludzie ci ustawili się w długiej kolejce i w krótkim czasie wykupili bony na sumę 70.000 dolarów.

„Nie możemy się powstrzymać, by w związku z tym nie wskazać na prosty fakt. Chociaż wielu z nas ma krewnych w służbie czynnej, to jednak nie odczuwamy bezpośrednio wojny. Ujmujemy wojnę raczej rozumowo niż uczuciowo. Lecz nasi współobywatele polskiego pochodzenia nader dokładnie zdają sobie sprawę, co oznacza obecny konflikt światowy.

„Wiedzą oni, co się stało z ich rodakami w kraju. Dla nich wojna jest namacalną rzeczywistością. Przyniosła im ucisk, prześladowania, utratę wszelkiej osobistej wolności. Dla nich oznacza ona tortury fizyczne, rozerwanie związków rodzinnych, utratę państwowości. Oto dlaczego Polacy z Auburn i innych miejscowości stają w kolejce i kupują bony wojenne na sumy mogące zawstydzić niejednego zasiedziałego Amerykanina..."

Głosy takie jak powyższe, a było ich w prasie amerykańskiej dziesiątki, dają wyraźną odpowiedź na pytanie postawione w tytule artykułu. W rubryce ofiarności patriotycznej amerykańskie „polle" przyznają polskiej grupie narodowej miejsce A-I. A-Number 1.

Ambulans samochodowy ofiarowany przez Polonię amerykańską armii U. S. A.

VIRTUTI MILITARI

Nie walczymy tylko o zwycięstwo,
jeśli zwycięstwo nie może być dane.
Walczymy o prawo —
choćby prawo pójścia pod ścianę.

Nie walczymy o sławę,
jeśli przed dobrą świat zatyka uszy.
Walczymy o dym — o dym z karabinów —
o hymn z pióropuszy...

Nie walczymy o szczęście, o wieczne szczęście,
o pocałunek więdnącej róży.
Walczymy o błysk — o błysk z karabinów —
światło wśród burzy.

Nie walczymy o byt, o byt w dosycie,
walczymy także o śmierć.
O śmierć, która daje życie,
o zdjęcie — zdjęcie Krzyża
— na piers.

Zdzisław Broncel

SURSUM CORDA

(Dokończenie art. ze str. 1)

o moją osobę. W Anglii liczba moich znajomych należących do narodu polskiego nie przekraczała liczby trzech: szlachcic-emigrant, który poślubił robotnicę fabryczną w Birmingham, uczony w mieście (nie na uniwersytecie) Cambridge, który zarabiał na życie pracą fryzjerską i naturalizowany w Anglii lekarz szpitalny. Wszyscy młodzi ludzie interesujący się literaturą czytali, że: „Freedom shricked when Kosciuszko fell and that Sarmatia fell unwept without a crime" („Wolność krzyknęła z przerażenia, gdy Kościuszko upadł i gdy Sarmacja runęła nie opłakiwana, bez winy"). Ludzie muzykalni uwielbiali Chopina i Paderewskiego, zwolennicy literatury: Conrada-Korzeniowskiego i Sienkiewicza. Poza tymi i może jeszcze Kopernikiem, niewiele jednak nazwisk polskich było nam znanych.

Ignorancja co do wschodniego Bałtyku przetrwała dużo dłużej. Przed kilku laty zapytywałem dwóch moich uczonych przyjaciół z Cambridge, co wiedzą o Litwie. Pierwszy z nich odparł: „nic". Drugi: „gdzie leży Litwa?". Nieco później, kiedy wiedziano, że zamierzam napisać biografię, kolega zapytał mnie o „mego Piłsudskiego" (tak!), podczas gdy pewna erudytka ogłosiła mój odczyt pt. „Marszałek Pilduski". Po zawieszeniu broni granice Polski zostały częściowo nakreślone przez mężów stanu, którzy szczerze wierzyli i dali temu wyraz, że z równym powodzeniem można dać zegarek małpie, jak Śląsk Polakom.

Moja pierwsza wizyta w Polsce nastąpiła w 1898 r. — tym fatalnym roku, w którym zamieszkujący wybrzeża Niemcy po raz pierwszy zlecieli się jak stado owiec, by podziwiać swą maleńką flotę wojenną. Wizyta ta zjednała mi przyjaźń p. Wockenfoth, naczelnika Wydziału Zdrowia, Gdańszczanina holenderskiego pochodzenia i absolutnie uczciwego człowieka. Znał on każdego mieszkańca Westerplatte i pasa nadbrzeżnego aż po Hel. „Czy istnieje jeszcze sprawa polska?" — zapytałem go. „Raczej nie" — brzmiała odpowiedź, udzielona po poważnym namyśle. Gdy spotkaliśmy się ponownie w bardziej jeszcze złowróżbnych godzinach 1933 r., wygłaszał podniesionym głosem deklamacje przeciwko potwornej „Gedingen" (Gdyni), która, jak twierdził, skazana była na zagładę, ale miała zrujnować Gdańsk. W lipcu 1939 r., choć głuchy i prawie ślepy, był nadal człowiekiem uczciwym i dzielnym, ale zbyt uprzejmym, by wdawać się w polityczną dyskusję.

Jeśli chodzi o Brytyjczyków, to nie są oni już obecnie tak zatwardziałymi ignorantami, jak mój niemiecki przyjaciel. Można śmiało stwierdzić, że od r. 1939 ocena brytyjska Polaków uległa całkowitej rewolucji. W ciągu XIX wieku nasz dług wobec Lutra, Mozarta, Beethovena, Wagnera, Fryderyka i Blüchera, dług wobec tysięcy wielkich uczonych i ludzi pióra — połączony z pewnym kuzynowskim uczuciem i uznaniem — stworzył więzy pomiędzy Niemcami a nami. Więzy te uległy rozluźnieniu pod Bismarkiem, zmniejszone zostały za Wilhelma II i wreszcie za Hitlera zastąpione zostały przede wszystkim podejrzliwością, a obecnie przeszły w najgłębszą odrazę.

Równocześnie nasza ignorancja i błędne koncepcje o Polakach znikły wraz z warunkami, które je stworzyły. Przez stulecia całe naród ich żył w najbardziej odległej części Europy, obcy nam językowo, pod względem rodzaju pracy, wyznania, polityki, a dostęp do niego był prawie że niemożliwy, za wyjątkiem drogi przez oszczercze i szydercze Niemcy.

Gdy utrzymanie niepodległości okazało się niemożliwe, Polacy próbowali odzyskać ją popierając Napoleona; tego Napoleona, który po Hitlerze był naszym najbardziej niebezpiecznym wrogiem. Tymczasem jednak zaczął świtać lepszy dzień. Długotrwały półmrok rozbiorów umożliwił Polakom wykorzystanie ich wrodzonego światła, oczyszczonego z emanacji, które je przez długi czas zaćmiewały. Choć pogrążeni w smutku, okazali swą odwagę w pierwszej wojnie światowej i żywiołową twórczość w odrodzonej Polsce.

Następnie, gdy rozszalała się nad nimi burza, jakiej nie wyobrażała sobie Europa, dowiedli — że są narodem bohaterskim, przewyższającym współtowarzyszy niedoli uporem w odmawianiu współpracy z wrogiem. Ich osiągnięcia morskie i powietrzne dorównały ich własnym wielkim wyczynom na lądzie, a w Ameryce i W. Brytanii uchodźcy polscy podsycali ciągle światło polskiej nauki. Oprócz doskonałej opinii, jaką sobie wyrobili, powstało jeszcze coś, co mogło być tylko rezultatem walki na śmierć i życie: owoc osobistego kontaktu pomiędzy tysiącami przeciętnych ludzi. Masy Polaków i Brytyjczyków dzieliły los życia w obozach i miastach i zadzierżgnęły się między nimi węzły mocnej przyjaźni. W ten sposób powstał nowy ważki czynnik w świecie współczesnym.

Polskie pokolenie powojenne może więc liczyć na trzy wielkie korzyści, którymi nie mógł się cieszyć żaden z ich poprzedników w dobie współczesnej. Ta Polska, na którą uderzył Hitler, stała się prawnie ukonstytuowanym, dojrzałym państwem, pełnoprawnym, a nawet wybitnym członkiem rodziny narodów. Nadchodzące zwycięstwo prawa i porządku nad agresją da im napewno możność odbudowy i powetowania szkód. Żaden kongres nie zgodzi się na decyzję mniej dla nich korzystną. Z punktu widzenia moralności, Polska jest Belgią drugiej wojny światowej i ofiarą jeszcze bardziej bezwstydnej zbrodni.

Po drugie, bilans współczesnej Polski rozwiał wiele wątpliwości żywionych przez przedstawicieli pewnych mocarstw, które podpisały zawieszenie broni w poprzedniej wojnie.

Organizatorzy wielkiego narodu i państwa, twórcy Gdyni, nie mogą być uważani za niezdolnych do rządzenia.

Nawet przed r. 1918 krytyczny badacz wschodniej Europy znalazł w Polakach aurę wielkości, której brakowało innym ambitnym narodom. O ileż mocniej przekonane jest co do tego nasze ciężko doświadczone pokolenie!

Po trzecie, Polacy zdobyli sobie sprzymierzeńców, którzy są także ich przyjaciółmi. Głosować za wyrokiem, który dyktowany jest przez prawo i sprawiedliwość, a bronić praw skrzywdzonego towarzysza, to dwie różne rzeczy.

Zarówno dla wojskowych, jak i mężów stanu, sprawa Polski stała się sprawą świętą, a synowie narodu polskiego mogą z ufnością wznieść swe serca.

W. F. Reddaway.

J. C Z.

ZAGADNIENIA

Jaki był dorobek malarstwa polskiego ostatnich 20 lat, o co malarze walczyli; w czym tkwił główny patos ich walki? Jest jeszcze za blisko tego okresu, by decydować na pewno, co zostanie, a co zginie z ich prac. Ale zaczynamy już mieć pewien dystans, i powinniśmy dziś już dążyć do uświadomienia sobie nie tylko tego co osiągnęli, ale i jakie popełnili błędy, przesady, dogmatyczne uproszczenia, z których dziś powinniśmy już znowu wyrastać, bo życie nie stoi, bo magiczne slogany aktualne i ważne w pewnej epoce mogą stać się zawadą dla dnia następnego. Bo trzeba wciąż przesuwać akcenty, rzucać światło na odcinki najbardziej zaniedbane czy zagrożone, a w każdej epoce inne.

Jest nas w wojsku przynajmniej kilkudziesięciu malarzy, którzy nie malują od szeregu lat. Paul Cézanne (1839—1900) mawiał, że niebezpiecznie jest myśleć o malarstwie bez palety w ręku, może jednak bardziej niebezpiecznie jest dla artysty nie malując nie myśleć o malarstwie wcale. Czas idzie, i na to, żeby nie stracić całkiem wątku, gdy nie możemy malować, warto jest przecie o malarstwie chociaż pomyśleć. Jest to odcinek kultury narodowej niemniej ważny od innych, przy tym tak związany z całym stosunkiem do życia, z całym stylem życia, że lekceważyć go nie powinni ludzie najbardziej na plastykę obojętni. Polska tradycja malarska ma już swoich własnych mistrzów, ma swoją własną ciągłość wielkim bezkompromisowym trudem osiągniętą, ciągłość, której nam zrywać nie wolno. I właśnie dorobek ostatnich 20 lat musi być ogniwem łańcucha, ogniwem powolnie wzrastającej naszej tradycji malarskiej, a nie zamkniętą w sobie, urwaną „chwilą".

Mówiąc o tym okresie nie potrafię być zbyt eklektyczny, nie potrafię również ująć całokształtu dorobku i naszych walk, chciałbym tu jedynie dać pewien przyczynek pisząc o sprawach, którym się sam przyglądałem z bliska, lub w których brałem udział.

Chcę pisać o kierunkach ostatniego dwudziestolecia najdalej związanych z Zachodem, częściowo poprzez rewolucyjną w swoim czasie grupę formistów, która do Polski wprowadziła i po swojemu przetłamała prądy futuryzmu, kubizmu, a nawet ekspresjonizmu już w latach dwudziestych, poprzez Kapistów i ruchy pochodne, czy równoległe, które rozpętały w Polsce koło roku trzydziestego walkę o kolor.

Jeżeli wyłączymy dosyć nieszczęsne wpływy ekspresjonistów niemieckich, ruchy te były wszystkie zaczepione o Francję. Wszyscy widzieli w Paryżu Mekkę malarstwa w przeciwieństwie do grupy wileńskiej Śleńdzińskiego, czy warszawskiego Bractwa św. Łukasza, które prądom francuskim starało się przeciwstawić.

Czy słuszny, czy twórczy był nasz kult sztuki francuskiej, nasz ciąg do Paryża? Zarzucano nam wielokrotnie i naiwnie „zdradę" pierwiastków rodzimych (za mało wierzb, świątków i gąsek, za mało tematów patriotycznych i batalistycznych, za wielki entuzjazm dla nieznanych w Polsce jakichś tam Cézannów, Degasów, Gauguinów i Van Gogh'ów (dlaczego Paryż, nie Rzym, nie Florencja i nie Amsterdam, dlaczego nie tylko Kraków czy Warszawa?).

Dlatego przede wszystkim, że Paryż wówczas, to było nie tylko muzeum skarbów przeszłości, ale to był tygiel żywych form sztuki nowoczesnej, a jednocześnie związanej wszystkimi fibrami z tradycją kilkusetletnią sztuki francuskiej ze sztuką całego świata, z Louvrem. Paryż ówczesny odegrał rolę analogiczną do Rzymu pierwszej połowy XVII wieku, dokąd wielcy malarze francuscy Claude Lorrain (1600-1682) i Callot jechali jeden jako kucheik, drugi jako lokaj, bo tam i tylko tam widzieli żywą tradycję wielkiej sztuki, gdzie stary Poussin (1594-1665), który do końca życia nie chciał Rzymu opuszczać, na zapytanie przyjezdnego arystokraty francuskiego, co mu radzi zabrać z Rzymu, schylił się i podniósł kamyk. „Niech pan bierze ten kamyk — rzekł — w Rzymie każdy kamyk jest święty". Wielkie malarstwo hiszpańskie, holenderskie, flamandzkie, niemieckie, wszystkie tak czy inaczej wiążą się w tamtym okresie z Rzymem. Nie kto inny jak Poussin, który nie wyobrażał sobie życia bez Rzymu, tak jak stary Pankiewicz nie wyobrażał sobie życia bez Paryża, był ojcem nie zerwanej do dziś wspaniałej francuskiej tradycji malarskiej.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, by ten okres malarstwa był alfą i omegą sztuki. Był on jedynie punktem wyjścia dla malarza, punktem wyjścia nie tylko naprzód, ale i wstecz, kluczem, który otwierał nam piękno epok najbardziej różnych i najbardziej odległych. Bo właśnie w tej sztuce francuskiej odnajdujemy przetrawione niezliczone wpływy i działania najbardziej różnych epok sztuki. Chyba nigdy jeszcze wpływy te nie były tak złożone i bogate: od starożytnego Rzymu i Grecji poprzez Davida (1748—1825), od wpływów wschodnich, gotyckich czy angielskich na okres romantyczny, od Hiszpanów, Edwarda Maneta (1832-1883) i japońszczyzny, która tak zaważyła na impresjonistach, kończąc na sztukach murzyńskiej, południowo-amerykańskiej w kubizmie, na Bizancjum (przez tyle wieków zapoznanym) na ikonie nowogródzką, które kładą swe piętno na malarstwo Matisse'a (ur. 1869).

Otóż dla nas na odwrót te epoki stawały się poprzez XIX wiek czytelne i nie tylko historycznie czy literacko, ale właśnie malarsko piękne.

Rafael — Portret Baltazara Castiglione

Kiedy mówię o wpływach, musimy raz na zawsze odrzucić naiwne teorie jakoby fakt, że takie czy inne wpływy dają się odczuć w sztuce, świadczyć miał o niesamodzielności, o słabości takiego czy innego dzieła. Chodzi o to, jakiej klasy są te wpływy i co z nich zrobić jesteśmy w stanie. Słusznie powiedział Brzozowski, że człowiek genialny nie jest wcale człowiekiem niezależnym, „nieprzemakalnym", ale właśnie wrażliwym na wszystko, reagującym na wszystko. Przykładem bardzo typowym, co mogą dać wpływy, kiedy padają na inteligencję i talenty wielkie, są właśnie malarzej francuscy, o których wspominam.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego właśnie wpływy Francji były u nas wyjątkowo potrzebne. Wynieśliśmy z epoki „Młodej Polski" fałszywe przesądy, że malarstwo wymaga tylko „czucia", „iskry bożej", że malarz ma prawo być głupi, byle nosił pelerynę, długie włosy, chlał wódę i miał w kawiarni nad ranem... natchnienia. Ta nieszczęsna przybyszewszczyzna, znana poprzez popularne nowelki Makuszyńskiego o malarzach — dotychczas jeszcze pokutuje w świadomości ogółu. Do dziś panuje przekonanie, że inteligencja, że refleksja, że myślenie o sztuce jest jedynie pokrywaniem braku talentu. Otóż właśnie wielcy Francuzi uczą nas czego innego. Żaden inny naród nie ma takiej zdolności do opanowania instynktu, uczucia przez myśl, do rozumnego uświadamiania sobie zagadnień, przetrawiania wpływów obcych najbardziej sprzecznych. Żadna sztuka nie była chyba tak świadoma, tak przeszyta problematyką różnoraką, tak bogata w treść myślową, a jednocześnie tak pełna uczucia, tak wierna niezafałszowanemu instynktowi. Wystarczy czytać dzienniki Delacroix (1799-1863), listy Cézanna, opowiadania Valery'ego o Degasie (1834-1917), znać temperaturę intelektualną środowisk malarskich od Davida do Picassa (ur. 1881), żeby zrozumieć jak naiwny jest to stosunek do malastwa widzieć w nim tylko bezmyślną funkcję uczucia i talentu. Pokolenie malarzy Polski Niepodległej tę prostą prawdę zrozumiało.

■

Walka o prymat koloru w obrazie była poprzedzona u nas specyficznie polską reakcją na pewien typ tematyki. Wiązała się ona z antynaturalistycznymi, abstrakcyjnymi kierunkami na świecie. Chodziło o wydobycie, zaakcentowanie pojęcia elementarnego, o którym jeszcze w dziewięćdziesiątym siódmym roku pisał Maurice Denis (ur. 1870), jeden z wybitnych malarzy i krytyków francuskich, że obraz przedtem niż jest wyobrażeniem jeźdźca czy kobiety, jest pewnym splotem linii, barw, form, które działają same w sobie i niezależnie od tematu wzbudzają zachwyt, lub drażnią. Wniosek: do obrazu powinniśmy podchodzić z kryteriami malarskimi, a nie wyłącznie literacko-tematycznymi.

Walkę o te malarskie kryteria podnieśliśmy bynajmniej nie pierwsi w Polsce. Nawiązywaliśmy konsekwentnie do „Sztuki i krytyki" Stanisława Witkiewicza (1851—1915), który już w dziewięćdziesiątych latach polemizował z profesorem Struwe, wyrocznią pism warszawskich i apologetą Jana Matejki (1838—1898). Pisał on o każdym jego obrazie ogromne tasiemce tonąc w elukubracjach historycznych, filozoficznych czy metafizycznych, nie wspominając nawet o elementach malarskich, zapominając, że obraz musi być malarskim wyrazem takich czy innych przeżyć czy scen. W latach dwudziestych nad opinią polską wciąż jeszcze ciążyły kryteria nie malarskie, a tylko tematyczne i dlatego właśnie cały patos naszego wysiłku w tych latach szedł w kierunku atematycznym, a nawet antytematycznym. Właśnie dlatego, że dziewiętnasty wiek obok wielkich prądów malarskich zapoznanych i zwalczanych miał nieszczęsną, a cieszącą się niebywałym rozgłosem tradycję od Scheffera i Delaroche (1797—1856), epigonów romantyzmu (to Delaroche poprzez Monachium był u źródeł wpływów, które truły młodego Matejkę podczas jego pierwszej podróży za granicę).

A potem zaciążyli na nas znowu epigoni naturalizmu w sosie monachijskim oraz zrutynizowani impresjoniści, którzy impresjonizm przyjęli jedynie jako formułkę efektów świetlnych („jak nie wiesz co kłaść, kładź ultramarynę" doradzał nam pewien poczciwy impresjonista). Dla szerszej publiczności, nie posiadającej prawie kultury plastycznej ani wielkich galerii na miejscu, w których by widz mógł się kształcić na najwyższych wzorach — obraz przestał istnieć jako pewna rozkosz oczu, a istniał jedynie jako temat. W tej atmosferze, z jakim wzruszeniem oglądaliśmy zaraz po roku 20 w Krakowie paryskie numery „Esprit Nouveau" zapełnione ciętymi artykułami przeciw łatwiźnie naturalistycznej, przeciw epigonom impresjonizmu. Z jaką niechęcią spoglądaliśmy wówczas na obrazy batalistyczne albo na te setki niebieskich śniegów, ultramarynowych cieni epigonów impresjonizmu. Już wtedy ponad fascynujące nas postacie Van Gogha (1853—1890) i Gauguina (1848—1903), ponad prawie już przez nas zapomnianych wielkich impresjonistów, wyrastał Cézanne z jego wolą konstrukcyjną i jego dążeniem do budowania świadomego obrazu, malowanego z natury, budowania równie świadomie, jak budowali klasycy Rafael czy Poussin. Pod urokiem Cézanne'a zapaleni do czystej problematyki, przechodziliśmy wówczas szał martwej natury jako typu malarstwa, w którym tematyka gra rolę najmniejszą, w którym jest najłatwiej świadomie konstruować i kombinować elementy barwne i kompozycyjne. Pamiętam, jak prof. Leopold Jaworski, zainteresowany naszą pracą, kupił od Zygmunta Waliszewskiego, wówczas ucznia akademii krakowskiej a później chyba najświetniejszego malarza ostatnich dwudziestu lat w Polsce, martwą naturę. Kiedy zaniosłem ten obraz do mieszkania, żona profesora przyjęła go z pewnym zniechęceniem: „Wy zawsze malujecie tylko jabłka i jabłka". Po powrocie do siebie powtórzyłem to zdanie Waliszewskiemu, który już leżał. Waliszewski aż zerwał się na łóżku: „Ależ ta kobieta Boga nie zna, jeżeli jabłka nie widzi". Właśnie to studiowanie martwej natury odkryło nam zachwycający świat barw i linii, którego szukać nie potrzebujemy w efektownych pejzażach, zachodach słońca, czy wstrząsających tematach. Odkrywaliśmy to, co odkrywa każdy autentyczny malarz we wszystkich wiekach, że piękno jest wszędzie wokoło nas, że musimy je tylko zobaczyć, wyrazić, że ten element „czystej sztuki" istnieje równolegle z tematem, a nieraz od tematu niezależnie.

Zresztą słowo „temat" jako takie jest pojęciem nadzwyczaj względnym i dzisiaj już musimy się bardzo wystrzegać, by nie wpadać w jakiś ostracyzm bez sensu. Jeżeli mieliśmy niechęć do takich czy innych tematów, jeżeli niechęć ta była zjawiskiem potrzebnym, twórczym, to jedynie dlatego, że byliśmy wówczas zdławieni fałszywymi autorytetami malarzy, którzy tematy źle malowali. Jeżeli dziś mówimy o sztuce czystej powtarzając słowo „art pure", chociażby za Valery'm, to jest to pojęcie do przyjęcia jedynie w tym zrozumieniu, że obraz musi mieć wartości niezależnie od tematu, który przedstawia, wartości czysto malarskie. Ale właśnie moja generacja wpada nieraz i do dziś w skrajny i błędny dogmatyzm twierdząc, że temat jest zjawiskiem w sztuce zawsze obojętnym, albo nawet szkodliwym. Ludzie, którzy tak twierdzą, mają krótką pamięć i przeoczyli zwężają świat sztuki w malarstwie pod wpływem swych pierwszych młodzieńczych, subiektywnie pożytecznych w swoim czasie, lecz obiektywnie względnych reakcji. Po pierwsze, co znaczy temat? Świetny krytyk dzie-

Rembrandt — „Ślepy Tobiasz"

więtnastego wieku, malarz i autor „Dominique". Fromentin (1820—1870) pisząc w swojej książce „Maitre d'autre fois" o malarstwie holenderskim stwierdza, że malarstwo holenderskie nie posiada żadnego tematu, bo nie przedstawia żadnych idei. Już Michał Anioł (1475—1564) atakował Holendrów za to samo, że malują dużo rzeczy niepotrzebnych.

Dzisiaj właśnie malarstwo holenderskie uważamy za typowo tematyczne.

Za moich czasów paryskich mówiono o atematyczności Renoir'a. Słusznie śmiał się z tego Cocteau twierdząc, że tematem Renoir'a (1841—1919) były grube i hoże niańki, że każdy ma jakiś swój temat. Nawet Picasso pokazywał mi u siebie w pracowni mały obrazek, pozornie zupełnie abstrakcyjny, przypominający stylizowaną dziurkę od klucza. Pokazał mi potem szereg obrazków tego samego rozmiaru, z których pierwszy przedstawiał kobietę nagą, siedzącą na skale wśród morza. Wszystkie dalsze płócienka były coraz bardziej przestylizowaną, coraz dalszą od punktu wyjścia parafrazą tegoż tematu. Większość płócien kubisty Picassa miały więc również mniej lub więcej transponowany, ale jednak temat.

Teraz weźmy te tematy, które jak najgwałtowniej zwalczaliśmy jako niemalarskie. A więc bitwy, sceny wojenne lub sceny historyczne. Jakże łatwo moglibyśmy dzisiaj cytować tuziny arcydzieł o tej właśnie tematyce, arcydzieł, które musimy przyjąć również jako wzory „art pure" — czystej sztuki, albo słowo „art pure

Ghirlandaio — „Dziadek z wnukiem"

MALARSKIE

Delacroix — „Barykada"

nic nie znaczy. Weźmy chociażby cudowną bitwę Rubensa (1577—1640), malowaną, o ile sobie przypominam, dla Henryka IV, ogromny obraz w gamie srebrno szarej w Uffiziach we Florencji, weźmy sławną bitwę Ucella (1396—1475) w Galerii Londyńskiej, albo chociażby niektóre batalistyczne obrazy Delacroix, czy Michałowskiego (1800 — 1855) „Samosierrę" z Muz. Narodowego w Krakowie. Te arcydzieła przewyższają, niestety, tysiące razy większość naszych martwych natur. A jeżeli chodzi o malarstwo ilustrujące literaturę, znowu Delacroix daje setki przykładów. Jego „Dante i Wirgiliusz", jego sceny z Szekspira, obrazy mitologiczne należą do najświetniejszych płócien dziewiętnastego wieku, z których wyrasta generacja wielkich kolorystów francuskich. Ileż wzorów cudownie tematycznych od obrazów religijnych Giotta (1270—1330), do płócien Goyi (1746—1828), albo do płócien największego z wielkich — Rembrandta (1606—1669). Jego sceny biblijne są nie tylko najwyższym wcieleniem sztuki, są one również w znaczeniu najgłębiej ludzkim, w ujęciu, w odczuciu tematu — arcydziełami. Nikt nie potrafi patrzeć na „Biednego Samarytanina" w Louvrze, lub na „Walkę Jakuba z aniołem" w Galerii Berlińskiej tylko pod kątem barwy i formy. Rembrandt osiągnął tak jak nikt poza nim scalenie najgłębszej treści z najwyższą formą malarską.

W związku z zagadnieniem tematyki jest jeszcze jeden punkt, który chcę poruszyć, to zagadnienie portretu. Znowu okropna tradycja złego portretu dziewiętnastowiecznego od od Scheffera i Bonnat'a do naszego Pochwalskiego stworzyła słuszną reakcję przeciwko portretowi psychologicznemu, a pozbawionemu jednocześnie jakichkolwiek wartości malarskich. Bonnat właśnie jest pod tym względem charakterystyczny. Jego portret Renan'a na przykład (jak i portret Krasińskiego malowany przez Scheffera) jest niewątpliwie psychologicznie świetny, ale tego obrazem nawet nazwać nie można, tak pozbawione jest to płótno zmysłu gry barwnej. Jednocześnie tenże dziewiętnasty wiek daje jeszcze wspaniałe malarsko, psychologiczne portrety: Courbet, Degas, Manet, Gierymski, Rodakowski i tylu innych. Mimo to właśnie druga połowa dziewiętnastego wieku zaczyna zatracać zmysł portretu psychologicznego. Psychologia w portrecie zaczyna być coraz bardziej lekceważona, akcent się przesuwa na inne zagadnienia. Jako reakcja przeciwko małym i wielkim Bonnatom, którzy zaśmiecają milionami obrazów mieszkania i wystawy całego świata, nasza epoka dochodzi znowu do absurdalnej sztancy, że psychologia w portrecie jest rzeczą niepotrzebną, że portret prawie, że powinien być niepodobny. Obrońcy tego współczesnego absurdu znowu zapominają o przeszłości. Zapominają, że stawiając taką tezę znów zwężają świat sztuki. Czy naprawdę portret „Dziadka z wnukiem" Ghirlandaia, lub „Mężczyzna z rękawiczką" Tycjana (1477—1576), albo portret Baltazara Castiglione — Rafaela są gorsze dlatego, że psychologiczne, czy naprawdę portrety Holendrów od Van Eycka (1370—1440) do Rembrandta, portrety Greca (1544—1625) są gorsze dlatego, że jednocześnie z cudowną płaszczyzną malarską łączą głębię psychologiczną? Przyznajmy, że portret psychologiczny ostatnich dwudziestu lat nie dał dzieł najwyższej miary poza paru może, bardzo rzadkimi wyjątkami (myślę tu o paru portretach Walisewskiego). Nie wolno nam rozumować o malarstwie na zbyt wąskim odcinku historii i pod kątem wygodnym dla naszego dorobku. Musieliśmy się oderwać od tak zwanego malarstwa psychologicznego i malarstwa tematycznego, by wywalczyć w Polsce prawo istnienia dla podstawowych elementów malarstwa: barwy, abstrakcyjnych konstrukcji obrazów. W tej dziedzinie wkład malarski ostatnich dwudziestu lat w Polsce wydaje mi się bardzo ważki. Ale nie wolno nam tworzyć sobie wygodnych teorii, które by widziały w tym, co zrobiło nasze pokolenie, pełnię ostateczną sztuki. Zawsze czujny Valery już dziś ostrzega przed zbyt łatwym lekceważeniem hierarchii tematyki, przed zbyt łatwym stawianiem znaku równania między każdym tematem, czy jest nim jabłko, czy ukrzyżowanie.

■

Jeszcze jeden punkt newralgiczny naszej epoki malarskiej, to stosunek do natury. Obserwujemy w historii wieczne wahadło sztuki, którego wahania idą od realizmu prehistorycznych rysunków w grotach Altamiry do przestylizowanych, prawie abstrakcyjnych, również prehistorycznych rysunków w grotach Buszmenów, od bardzo realistycznych rzeźb późnorzymskich do ideograficznej sztuki bizantyńskiej, a potem znów do realizmu malarzy Odrodzenia. Otóż nigdy to wahadło nie przeszło z taką szybkością takiej przestrzeni, jaka dzieli naturalizm drugiej połowy XIX w. od kubizmu pierwszej ćwierci XX w. Wśród ludzi dwóch pokoleń malarskich sąsiadujących ze sobą w czasie mieliśmy wielkie talenty, wśród których jedni twierdzili z pianą na ustach, że sztuka jest tylko na drodze najbliższej wierności wobec natury — Courbet (1819—1877) Gierymski (1849—1901) — drudzy zaś z tą samą namiętnością, że sztuka zaczyna się dopiero tam, gdzie się naturę przynajmniej deformuje („ta przeklęta natura", jak mówił Gauguin), albo całkiem o niej zapomina, jak u kubistów, lub jeszcze bardziej w pochodnych od kubizmu skrajnie abstrakcyjnych kierunkach.

Te dwie skrajne tezy wcześniej czy później, zależnie od kraju i miejsca, popularyzują się i „zamarzają" w formie jednostronnych dogmatów lub mniej lub więcej aktualnych sloganów. Słusznie pisał znany krytyk paryski w 1927 r.: „W 1903 r. każda panna na całym świecie malowała naturę, dzisiaj nikt natury nie maluje". Diagnoza ta była słuszna, gdy chodziło o ogólny pewnik wyznawany wówczas w środowiskach malarskich całego świata, noszących etykietę modernizmu. Pamiętam lata 1924—30 w Paryżu, z jaką zarozumiałością, z jaką pogardą mówiono wówczas po kawiarniach malarskich o ludziach, którzy wbrew ówczesnej modzie studiowali poważnie i pokornie naturę, którzy odkrywali na nowo wówczas zapoznanych i pogardzanych przez kubizm impresjonistów. Do tych „wstecznków" mieli zaszczyt należeć również Kapiści, którzy właśnie w Paryżu w okresie największego triumfu ruchów abstrakcyjnych odkrywali na nowo arcydzieła impresjonistów Sisley'a (1838—1898), Pisarra (1831—1903) czy Moneta (1840—1926) i podziwiali Cézanna, a widząc w nim właśnie założenia malarstwa o wiele bardziej pełnego, niż nim był, powołujący się również na Cézanne'a, kubizm. Pamiętam te panienki arcynowoczesne, przyjeżdżające z Krakowa czy New Yorku, które już po kilku miesiącach pracy w najbardziej „postępowej" Akademii Legera wiedziały, jak trzeba malować abstrakcyjną martwą naturę. To odwrócenie się epigonów kubizmu („wszy na mojej głowie" — mawiał o nich ze złością Picasso) doprowadziły o wiele szybciej niż mogliśmy się spodziewać do akademizmu à rebour (odwrotnego): kilka schematów, kilka kombinacji barw i linii, powtarzanych tysiące razy przez malarzy bez indywidualności z całego świata od Argentyny do Łotwy, z odciętą przy tym możliwością bogacenia swego malarstwa przez obserwację zawsze nowych kombinacji barw i form, które nam daje natura.

■

Otóż chyba dzisiaj rozumiemy wszyscy, że pełna sztuka może istnieć dopiero wtedy, gdy szuka syntezy elementów sprzecznych. Nie odwracanie się od natury, nie naiwne wyobrażenie, że można cokolwiek stworzyć w malarstwie bez ciągłego powracania do tej skarbnicy form i barw, nie kopiowanie fotograficzne natury bez zrozumienia, że obraz nie istnieje bez kompozycji i bez transpozycji rzeczywistości, ale tworzenie obrazu właśnie czerpiąc z obserwacji natury, i również z abstrakcyjnych źródeł czystej gry barwnej, czy wzajemnego działania brył i linii.

Dobrze to rozumiał jeden z wielkich naturalistów XIX wieku Aleksander Gierymski. Był on naturalistą aż do szaleństwa, chciał malować prawie że każde ziarnko piasku w swoich znanych „Piaskarzach", każdą chmurę i każdy liść w swoich pięknych pejzażach, a jednocześnie gdy malował „Trąbki" — Żydów modlących się nad Wisłą — przesuwał dziesiątki razy postacie z miejsca na miejsce, by doprowadzić obraz do prawdziwej harmonii kompozycyjnej. Ten sam Gierymski robił nawet szkice zupełnie abstrakcyjne, czysto geometryczne (dziś powiedziano by — kubiczne) przed rozpoczęciem swych obrazów i to dwadzieścia lat przed powstaniem kubizmu. Tym sposobem rozkładał bryły i farby swego przyszłego obrazu, by miały geometryczną równowagę. Jeszcze pamiętam, z jaką pogardą traktowali kubiści Pierre Bonnarda (ur. 1867) w latach 1920 — 1930. Nie mogli mu darować, że ten stary malarz nie umie się oderwać od impresjonizmu, a z tym razem od czujnego, nieustannego obserwowania i studiowania natury wtedy, gdy już wszyscy awangardziści dawno „zrozumieli", że obraz jest wyłącznie zjawiskiem abstrakcyjnym. Pamiętam krytykę w najbardziej wówczas czytanym i luksusowym piśmie o wystawie Picassa, Legera i Bonnarda: „Za Picassem, który jedzie na czele sztuki we wspaniałym Rolls Roysie, za Legerem na świetnym Bugatti, jedzie z daleka nie mogąc ich dogonić pan Bonnard na starym tricyklu." Otóż właśnie ten „wstecznik" Bonnard umiał nie zrywając kontaktu z naturą, zachowując kult dla impresjonistów, wejrzeć w świat malarstwa abstrakcyjnego i tak wiele z niego skorzystać. To on powiedział Pankiewiczowi nieoczekiwane w jego ustach słowa: „Malarstwo abstrakcyjne zbawi malarstwo". I właśnie nie Leger, nie Picasso i naturalnie nie epigoni naturalistów czy impresjonistów, ale Bonnard, który umie, jak Aleksander Gierymski, łączyć w swoich obrazach elementy realizmu z elementami abstrakcyjnymi i z nich budować właśnie czystą formę sztuki — Bonnard właśnie wraz z Cézannem zaciążyli może najbardziej na generacji malarzy polskich ostatniego dwudziestolecia.

Cezanne — „Graczе"

Poszukiwanie syntezy elementów sprzecznych, które dopiero od Davida stały się przeciwstawnymi („to David rozkawałkował sztukę" — mawiał z żalem Pankiewicz), to dążenie do obrazu nie oderwanego od rzeczywistości, a jednocześnie abstrakcyjnie skomponowanego, to oderwanie się od czystego impresjonizmu (malarskiego odpowiednika naturalizmu) i czystego abstrakcjonizmu, który naturę w obrazie przekreślił — uważam za najbardziej istotny dorobek świadomości malarzy ostatniej doby w Polsce.

■

Zdaje mi się, że ewolucja, którą przeżyło malarstwo polskie w ostatnich latach, świadczy o dużej żywotności i możliwości plastyki polskiej na przyszłość. Nie wiem, który z narodów w Europie — wyłączam Francję, która w ostatnich dwudziestu latach była już ośrodkiem twórczości nie tylko francuskiej, ale i międzynarodowej — wykazał taką prężność w dziedzinie plastyki jak Polska. W Niemczech obserwowaliśmy systematyczne niszczenie poważnej sztuki. Malarstwo współczesne w Niemczech wyrwano z korzeniami, zostały miliony kiczów propagandowych w rodzaju wystawionego w Monachium na wielkiej wystawie malarskiej w 1938 r. „Na początku było słowo", przedstawiającego Hitlera przemawiającego w piwiarni, lub tych haniebnych, z pozorami starannego rysunku, aktów kobiecych na wystawie w Paryżu. A w Sowietach? Tu znowu widzimy brutalną likwidację czystej sztuki. Jeżeli w dziedzinie afiszu propagandowego dekoracji teatralnej (sztuka stosowana) Rosja dawała jeszcze rzeczy ciekawe, wartościowy obraz sztalugowy dosłownie zginął. „Ojciec narodów" na tle czerwonych sztandarów, sierpów i młotów, albo portrety wodzów armii sowieckiej, jak te, które musiano szybko zamalowywać ze względów całkiem nie malarskich na wystawie paryskiej w 1937 r. — to są charakterystyczne produkty malarskiej sztuki sowieckiej.

Dziś możemy stwierdzić, że w Polsce właśnie malarstwo sztalugowe ostatnich 20 lat dało w przeciwstawieniu do Rosji i Niemiec pewne trwałe pozycje. Jeżeli to malarstwo spotkało się z naturalnym zresztą niezrozumieniem, nikt tego malarstwa nie tępił metodami naszych sąsiadów, a nieraz nawet malarz był wspierany przez czynniki, które jego pracy nie rozumiały, bo istniał szacunek dla pracy artysty i u bardzo wielu zrozumienie, że narzucanie sztuce oficjalnych ram i sztanc jest śmiercią sztuki. Może już czas na notowanie uwag i wspomnień o tym okresie, o filiacjach właśnie Cézannowskich, Bonnardowskich sztuki polskiej, o roli Pankiewicza, Makowskiego, o kolegach naszych już nie żyjących, o Waliszewskim, którego biografia jest nie mniej tragiczna i wielka jak biografia Van Gogha, o Miterze (1898-1936), redaktorze „Głosu Plastyków", który umierając jeszcze nam mówił o Cézannie i dawał zlecenia, jak dalej walkę o „dobre malarstwo" w Polsce prowadzić. Ten zapał, bezinteresowna namiętność sztuki, pracowitość garstki, wielu ludzi utalentowanych, dały rezultaty, które świadczą, że Polska i w tej dziedzinie dwudziestu lat niepodległości nie zmarnowała.

J. Cz.

Nakładem Drukarni Polowej APW ukazały się

PORTRETY I POCZTÓWKI

z wizerunkiem

MARSZAŁKA

JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

które są do nabycia

W CENTRALI ZAKUPÓW ODDZIAŁU PROPAGANDY I OŚWIATY

W obliczu ciężkiej próby

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Przekroczenie granicy polskiej przez wojska sowieckie wysunęło szereg zagadnień zasadniczych. Stosunki polsko-sowieckie znalazły się znowu w punkcie zwrotnym.

Stanowisko nasze w tej sprawie jest dobrze znane. Wyraziliśmy je w szczególności tydzień temu. Czytelnik nam wybaczy, że nie będziemy powtarzali argumentów naszych, wniosków i postulatów nie ulegających zmianie. Ograniczymy się raczej do rejestracji faktów.

W dniu 5 stycznia ukazało się oświadczenie rządu polskiego. Stwierdzało ono m. in., że Polacy „mają oczekiwać pełnej sprawiedliwości i zadośćuczynienia z chwilą uwolnienia kraju z pod okupacji wroga. Jak najprędsze przywrócenie pełnej władzy suwerennej polskiej na uwolnionych terenach i zabezpieczenie życia i mienia obywateli polskich jest nieodzownym tej sprawiedliwości warunkiem."

Powołując się na Kartę Atlantycką i na „obowiązujące traktaty międzynarodowe" oświadczenie wysuwało twierdzenie, że „rząd polski wykazał, iż rozwiązań narzuconych siłą nie uznał i nie uzna". Oczekując zas od Związku Sowieckiego „uszanowania praw i interesów Rzeczypospolitej oraz jej obywateli" deklaracja podkreślała, że rząd polski w instrukcjach dla podziemnych władz krajowych polecił dalszy nieprzerwany opór Niemcom, unikanie zatargów z wojskami sowieckimi, oraz współdziałanie z dowódcami sowieckimi w wypadku wznowienia stosunków polsko-sowieckich. Deklaracja zaznaczała, że rząd polski uważa takie porozumienie za pożądane. Oświadczenie rządu uznano powszechnie za wyraz gotowości nawiązania rozmów i stosunków z Moskwą na określonych w deklaracji warunkach.

W odpowiedzi na to w dniu 11 stycznia ogłoszono w Moskwie komunikat urzędowy „dotyczący deklaracji rządu Rzeczypospolitej Polskiej". Komunikat utrzymywał, że deklaracja „zawierała pewną ilość błędnych twierdzeń dotyczących granicy między Polską a Związkiem Sowieckim. Po dłuższym wywodzie na temat legalności przyłączenia „Białorusi Zachodniej" i „Ukrainy Zachodniej" do Rosji w r. 1939 i powołaniu się na pamiętne „plebiscyty" zorganizowane tam przez sowieckie władze okupacyjne, komunikat czynił Polsce następujące propozycje:

1) przyłączenia się do traktatu sowiecko-czechosłowackiego i związania się w ten sposób sojuszem z Rosją,

2) przyjęcia za linię graniczną między Rosją a Polską „mniej więcej" tzw. linii Curzona,

3) rozszerzenia zachodnich granic Polski przez „powrót do Polski dawnych ziem polskich, które zostały poprzednio zagarnięte przez Niemców".

Następowały potem niedopuszczalne napaści na rząd polski, jakoby „niezdolny do ustanowienia przyjaznych stosunków ze Związkiem sowieckim", niezdolny również „do zorganizowania czynnej walki przeciw niemieckiemu najeźdźcy w samej Polsce" i który „przez swą błędną politykę szedł często na rękę najeźdźcy niemieckiemu". Jeżeli zestawi się te słowa krytyki, która do Związku sowieckiego nie należy, z pochwałami pod adresem Związku Patriotów Polskich w Moskwie i oddziałów polskich zorganizowanych w Rosji pod naczelnym dowództwem marsz. Stalina, wówczas cel takiego stawiania sprawy jest wyraźny i już dalszych komentarzy nie wymaga. Głos ma teraz rząd polski, który zanim te słowa dojdą do czytelnika zajmie zapewne stanowisko wobec napaści wykonanej jego oświadczeniem z dnia 5 stycznia b. r.

Linia Curzona

Komunikat Reutera powołujący się na opinię „brytyjskich kół miarodajnych" dawał do zrozumienia, że przyjęcie przez Rosję linii Curzona za podstawę dyskusji o granicach oznacza odstąpstwo na korzyść Polski od linii demarkacyjnej Ribbentrop-Mołotow z września 1939 r., albowiem przyznaje Polsce „przeważająco polskie okolice włączone do ziemi anektowanych do ukraińskiej i białoruskiej republik sowieckich". Chodzi tu zwłaszcza o Białystok i Łomżę, które znajdowały się na zachód od linii Curzona, natomiast Wilno, Grodno, Mińsk i Brześć pozostawały przy Rosji. Komunikat sowiecki wspomina również o Ukrainie Zachodniej, choć jak zobaczymy dalej, linia Curzona nie dotyczyła Małopolski Wschodniej i Lwowa, pozostawiając los tych ziem w zawieszeniu.

Linia Curzona wysuwa się po raz trzeci w naszych dziejach. Nie była ona w rzeczywistości dziełem lorda Curzona, ani też linią graniczną. Wysunęła ją Rada Najwyższa głównych mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych, która w dniu 8 grudnia 1919 r. upoważniła Polskę do utworzenia na wschodnich obszarach pozostających pod władzą państwa polskiego normalnej administracji w obrębie ustanowionej w tym celu „tymczasowej linii demarkacyjnej". Proponowana ta linia biegła na północ wzdłuż Bugu począwszy od punktu granicznego między byłą Kongresówką i byłą Galicją, obejmowała dalej Białystok, Łomżę przechodząc w pobliżu Grodna, lecz na zachód od tego miasta. Decyzja Rady Najwyższej pozostawiła w zawieszeniu rozgraniczenie Małopolski z Rosją oraz wyraźnie zastrzegała Polsce prawo do wysuwania roszczeń na wschód od wykreślonej linii. Nie był to zatem projekt granicy polsko-rosyjskiej, ale zarządzenie typu administracyjnego, spowodowane koniecznością uporządkowania stosunków na zanarchizowanym wówczas wschodzie Europy.

Podobny charakter tymczasowy i demarkacyjny miała linia wówczas, gdy w dniu 11 lipca 1920 r., w toku wojny polsko-sowieckiej, lord Curzon, ówczesny minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, zwrócił się w imieniu swego rządu działającego w charakterze rozjemcy do rządów polskiego i sowieckiego, by wojska polskie wycofały się z chwilą podpisania rozejmu na powyższą linię, a wojska sowieckie zatrzymały się 50 km na wschód od niej, z wyjątkiem Małopolski Wschodniej, gdzie każda z walczących armii miała zatrzymać się na linii zajmowanej w dniu podpisania rozejmu. Jak wiadomo, w istocie w latach 1918 — 1920 wojska sowieckie nie dotarły nawet do Lwowa.

Otóż rząd sowiecki pamiętając ówczesne plany interwencyjne Francji i W. Brytanii w Rosji, którym oparła się Polska, odrzucił pierwszy projekt linii demarkacyjnej w 1919 r. wyrażając gotowość wycofania swych wojsk daleko na wschód, bo aż do linii rzeki Dryssy i miast Połock, Borysów, Cudnów i Bar. Gdy zaś z propozycją mediacyjną w r. 1920 i z projektem linii demarkacyjnej wystąpił lord Curzon, Rosja sowiecka po raz drugi odmówiła W. Brytanii prawa mięszania się do tej sprawy i wyraziła gotowość przyznania Polsce, stojącej wówczas w obliczu niepowodzeń wojskowych, granicy znacznie korzystniejszej od tej, jaką proponował dla celów demarkacyjnych lord Curzon. W czasie rokowań pokojowych w Rydze, delegat sowiecki Joffe, ponowił parokrotnie już składaną deklarację swego rządu odrzucającą linię Curzona i stwierdzał, że granice Polski muszą być przesunięte na wschód od niej.

Oczywiście Polska nigdy nie uważała linii Curzona, która nie wyszła z dziedziny teorii i abstrakcji, za podstawę przeprowadzenia granicy polsko-sowieckiej. Nie miała też najmniejszego powodu okazywać dla tej linii większego zapału niż rząd sowiecki, który do roku 1939 uważał ją za nierealną dla Polski.

Sojusz i następstwa

Komunikat sowiecki zawierał również propozycję przystąpienia Polski do paktu czesko-sowieckiego. Intencje zawarcia przez Rosję tego paktu z Czechami są jasne jak na dłoni. Sama jego treść, przy dokładnym czytaniu, budzić musi zastanowienie. Pakt nie powołuje się ani na sojusz brytyjsko-sowiecki, ani na porozumienia brytyjsko-czechosłowackie, ani też na ogólną organizację międzynarodowego bezpieczeństwa. Ma więc charakter układu odrębnego, stwarzającego niezależną sytuację prawną i terytorialną.

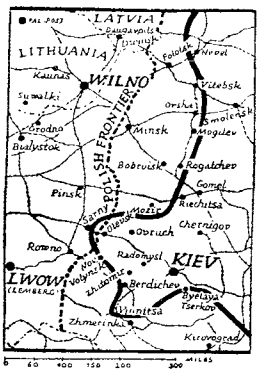

Mapka terenu walk na pograniczu polsko - sowieckim (linia frontu przed zajęciem Kirowogradu)

Przystąpienie do niego oznaczałoby zatem związanie się z systemem odgrodzonym od ogólnych koncepcji międzynarodowych. Tymczasem Polska posiada sojusz z Wielką Brytanią i jest zainteresowana w ogólnym układzie bezpieczeństwa. Stosunki jej nie ograniczają się do Rosji i do Czechosłowacji.

To jedno. Na inną stronę tego zagadnienia rzucił światło głos moskiewskiej „Wojny i klasy robotniczej". Pismo wystąpiło z krytyką stanowiska Czechosłowacji za jej bierność w walce z okupantem niemieckim w Czechach. Napaść ta jest tym ciekawsza, że ukazała się krótko po pobycie w Moskwie p. Benesza, który dumny z siebie i przyjaźni rosyjskiej powrócił do Londynu. Wystąpienie pisma sowieckiego na pewno zaskoczyło wielu Czechów, którzy mogli sądzić, że staną się obecnie beniaminkami Moskwy. Nas ono nie dziwi. Stanowi bowiem logiczne zastosowanie układu czesko-sowieckiego, na którego podstawie Moskwa uważa się zapewne za ośrodek dyspozycji dla Czechosłowacji w zakresie używania jej sił strategicznych. Są to konsekwencje, których p. Benesz powinien był się spodziewać. Sojusze ze Związkiem Sowieckim podpisywali już przed nim przedstawiciele państw bałtyckich. Jeżeli pamięć zawodzi p. Benesza, nam musi ona dopisywać.

Reakcja brytyjska

Oficjalne czynniki brytyjskie, jak i amerykańskie nie zajęły dotąd stanowiska wobec oświadczeń rządów polskiego i sowieckiego. Komunikat Reutera wyjaśniający charakter linii Curzona zaznaczył, że obie deklaracje, choć „są sobie przeciwstawne, stanowią w zasadzie, jak można mieć nadzieję, poważny materiał do rozważania ostatecznego załatwienia trudnych zagadnień". Komunikat kończył się zdaniem: Wszystkie te aspekty badane są przez rząd brytyjski, który pragnie gorąco doprowadzić do wznowienia przyjaznych stosunków między swymi wschodnimi sojusznikami".

Sprawa wywołała szerokie echa w prasie angielskiej, która okazała dla polskiego punktu widzenia dużo sympatii. Gorący i szczery apel dziekana Chichesteru w obronie Polski, ogłoszony w „Daily Telegraph" i ostrzegający przed rozstrzyganiem jej losu siłą, budzić musi uznanie i szacunek.

Inne pismo „Sunday Times" przypomniało we wstępnym artykule notę rządu brytyjskiego doręczoną rządowi polskiemu w dniu 30 lipca 1941 r. przez min. Edena, że „rząd J. Kr. Mości nie uznaje żadnych zmian terytorialnych dokonanych w Polsce od sierpnia 1939 r.". „Daily Mail" zapewniał, że rząd brytyjski z pewnością nie pragnie, by „rząd polski z'muszony był do przyjęcia jakiegokolwiek rozwiązania. Ministrowie brytyjscy chcieliby, by zagadnienie graniczne było rozwiązane na drodze przyjaznych rokowań i do tego celu zmierzają wszystkie ich wysiłki".

Z drugiej strony wszakże inne pisma brytyjskie odgradzają sympatie dla Polski od bieżących w ich mniemaniu nakazów rzeczywistości. A więc „Times" przypominając zresztą stanowisko rządu brytyjskiego w sprawie nieuznania zmian terytorialnych przeprowadzonych w czasie wojny, rozwijał znaną tezę, iż „bezpieczeństwo Polski może być zapewnione jedynie w ścisłej współpracy z jednym z jej największych sąsiadów". Pismo wywodziło, że „na dłuższą metę, terytorialne ustępstwa w obszarach, które są przedmiotem dyskusji, stanowiłoby niską cenę za mocne zapewnienie na przyszłość przyjaźni i poparcia rosyjskiego". Co najbardziej zdumiewa w tych zdumiewających wywodach, to zdanie „Times'a", że „nie byłoby zbyt pochopne twierdzenie, iż najbardziej odpowiedzialna polska opinia jest przygotowana do pewnych ustępstw".

Sądzimy, że ten pogląd „Times'a" opiera się na jakimś nieporozumieniu, a wielki organ londyński wije się sam między nakazami uczciwości a stworzonymi przez siebie nakazami „rzeczywistości".

Reakcja amerykańska

Nie inaczej jest w Ameryce. Bohaterem dnia w tej dziedzinie stał się p. Wendell Willkie, niedoszły prezydent Stanów Zjednoczonych. Zawdzięcza on swój nowy rozgłos moskiewskiej „Prawdzie", która polemizując z jego artykułem na temat losu zachodnich sąsiadów Rosji wyprosiła sobie w imieniu swych mocodawców, by Amerykanie mieszali się do tych zagadnień. Zdaniem „Prawdy" Rosja załatwi sama nie tylko sprawę państw bałtyckich, nie tylko Finlandii, ale i Polski. Stanowisko przynajmniej wyraźne. Dawniej takie stawianie sprawy nazywało się stwarzaniem „strefy wpływów", do której inne mocarstwa nie mogły się mieszać. Ale jak zapewniał p. Cordell Hull, dzięki zjazdom w Moskwie i Teheranie, „stref wpływów" w Europie nie będzie. Czy trzeba będzie zatem szukać innej nazwy dla tej samej sytuacji?

Sprawa ta wyraźnie niepokoi p. Willkie'go. W „New York Sunday Magazin" odsłonił on dylemat, przed którym stoją zarówno Wielka Brytania, jak i Stany Zjednoczone:

> „Większość z nas zdaje sobie sprawę, pisał, że przyszłe losy małych państw europejskich są jednym z najbardziej delikatnych zagadnień, wobec których stoją nasi mężowie stanu... Z drugiej strony, czy ci, którzy tak swobodnie mówią o zmuszeniu Stalina do uznania pełnej integralności Polski, czy ci rzekomi przyjaciele małych narodów proponują sposób, jakim chcą zmusić Stalina? Z pewnością nie przez użycie broni. Naród amerykański nie chce siłą narzucać Stalinowi swych poglądów. Zdajemy sobie jednak sprawę, że stanowisko Sowietów będzie prawdopodobnie czynnikiem decydującym o losach małych państw sąsiadujących z Rosją. Żądanie nasze polega na tym, jak wpłynąć na stanowisko Rosji.

„Washington Post" zaś omawiając wizytę premiera Mikołajczyka w Ameryce zapewniał, że będzie on dobrze przyjęty w Stanach Zjednoczonych, ale dodawał: „nie oznacza to, by istniała dotąd jakakolwiek możliwość użycia z powodzeniem naszej życzliwej pomocy, celem doprowadzenia do porozumienia Polski z Rosją. Mówić co innego byłoby obłudą".

Jak więc wpłynąć na stanowisko sowieckie? Czy rzeczywiście W. Brytania i Stany Zjednoczone są bezsilne, czy nie mają żadnego środka perswazji? Przecież wojna prowadzona jest wspólnie. Przecież ofensywa sowiecka rozwija się przy wydatnej pomocy Ameryki i Anglii. Prezydent Roosevelt stwierdzał właśnie, że dostawy okrętowe Stanów Zjednoczonych do Rosji obliczane były do października ub. r. na sumę 3 i pół miliarda dolarów, czyli jedną czwartą całego wywozu amerykańskiego dla sprzymierzonych.

> „Nasze pomoc dla ZSRR., mówił Roosevelt, wzrosła znacznie w 1944 r. Była ona skutecznie zastosowana przez czerwoną armię w jej marszu przez Ukrainę i Białoruś. Do paździemika posłaliśmy do ZSRR. blisko o 7 tysięcy samolotów więcej, niż do jakiegokolwiek innego państwa".

Mój Boże, gdybyśmy mieli taką pomoc we wrześniu 1939 r. Należałoby i o tym pamiętać.

U. N. R. R. A.

Więc co będzie dalej? Wejście wojsk sowieckich na ziemię polską wyłania szereg zagadnień praktycznych, które wymagają rozwiązania. „Palestine Post" w depeszy z Waszyngtonu donosiła, że stosunki polsko-sowieckie przejdą główną próbę, gdy U.N.R.R.A. rozpocznie działalność na oswobodzonych z pod okupacji niemieckiej ziemiach Polski. Co to jest U.N.R.R.A.? Pod nazwą tą (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) kryje się organizacja państw sojuszniczych utworzona w Ameryce i stawiająca sobie za zadanie niesienie pomocy w zakresie dożywiania i odbudowy domów mieszkańców okupowanych dziś terenów. Do organizacji tej przystąpiła Polska i Rosja Sowiecka. Na czele jej stoi Amerykanin p. Lehman. Na zasadzie zawartej umowy, przedstawiciele tej organizacji winni być dopuszczeni na wyzwolone tereny. Pierwsze zastosowanie dążeń tej organizacji winno w dzisiejszych warunkach nastąpić w Polsce. Czy nastąpi?

Sprawy te obserwowane są uważnie przez wszystkie mniejsze narody. Znamienne są zwłaszcza głosy nadchodzące z Turcji, pełne troski o los mniejszych narodów. Duże wrażenie wywarł zwłaszcza artykuł półoficjalnego organu tureckiego „Ulusa", stwierdzający, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone „nie mogą ignorować rządu polskiego, który stawiwszy opór Niemcom w r. 1939 stanął jasno i niezłomnie w obozie narodów sprzymierzonych. „Na łamach zaś pisma „Aksham" poseł do parlamentu Sadak stwierdzał: „W r. 1944 zobaczymy wzrost liczby narodów, które zadadzą sobie pytanie, jakim celom służyły ubiegłe pięć lat wojny". „Nie wojny boimy się, pisał ten sam polityk, ale niewolnictwa..."

My również...

Na Polskę i na Rumunię

W kierunku działań na froncie rosyjskim nie zaszły poważniejsze zmiany. Jedno uderzenie rozwija się w stronę Wołynia, gdzie wojska sowieckie zajęły Sarny. Główne jednak natarcie sowieckie zmierza ku Rumunii. Wojska sowieckie mają zapewne plan dotarcia na Półwysep Bałkański, zagarnięcia nafty rumuńskiej, połączenia się z oddziałami Tito i stanięcia u brzegu Adriatyku. Armia Stalina zaćmiłaby wówczas wszystkie zwycięstwa Rosji w ciągu dziejów. Rozwiązałoby wreszcie sprawę cieśnin.

Na razie wojska sowieckie zajęły Połonne, Berdyczów i Kirowograd. Wojska niemieckie cofają się stawiając zacięty opór. Dotychczas nie udało się ich okrążyć. Z komentarzy niemieckich wynika jednak, że w Berlinie liczą się z dalszym oddawaniem terenu dla oszczędzania sił ludzkich. Straty po obu stronach są ciężkie. Bitwa nie jest jeszcze rozegrana.

D. I.

Wyłącznie dla wojskowych

Pismo to ma charakter wojskowy i może być sprzedawane tylko wśród wojsk polskich i sprzymierzonych, a treść jego nie powinna być podawana do wiadomości innym osobom.

Not to be published

This paper is a military document and must not be sold nor must its contents be communicated to any person who is not a member of the Polish Forces or other Allied Forces.

Dr TADEUSZ FELSZTYN

ARMATA, CZY SAMOLOT(!)

Od chwili, kiedy karabin odtylcowy Dreysego zapoczątkował erę przemożnego wpływu techniki na sposób prowadzenia bitwy, każda nieomal nowa wojna przynosi jakąś niespodziankę, która przeobraża metody walki i zmusza do gruntownej przemiany sposobów dotychczas stosowanych.

Ten rozwój techniki, postępujący coraz szybszym krokiem naprzód, powoduje, że narzędzia walki rozpoczynające nową wojnę są — w niektórych dziedzinach przynajmniej — tak odległe od narzędzi wojny poprzedniej, jak np. dzisiejszy szybki samochód od dawnej bryczki, zaprzągniętej w jednego konia. To też teoretycy i praktycy wojskowi, którzy starają się jak najdokładniej wmyśleć się w warunki przyszłej wojny, stają zawsze między dwiema sprzecznościami. Z jednej strony, zwłaszcza w państwach zwycięskich, krwawym doświadczeniem okupione metody walki ciążą aureolą zwycięstw na myśli wojskowej hamując jej rozwój i wywołując podświadomą dążność do bagatelizowania wszelkich postępów techniki, do poszukiwania raczej ich cieni i do uspokajania własnego sumienia rzekomo nieusuwalnymi kardynalnymi wadami nowych narzędzi walki. Z drugiej zaś strony, tani entuzjazm i branie dalekich jeszcze od osiągnięcia postępów za już istniejącą rzeczywistość — powodują, że liczni apostołowie nowych form walki łatwo wpadają w przesadę i nie mającą realnych podstaw skrajność, przez co tylko kompromitują idee, o których realizację walczą.

Kształtującą się pod wpływem obu tych sprzeczności myśl wojskową wytwarza sobie jakiś prawdopodobny obraz przyszłej wojny, obraz, którego rzeczywistość na pewno nigdy w całej pełni nie potwierdzi. Zawsze więc znajdą się tacy, którzy będą mieli prawo powiedzieć: „A widzicie, nie mówiłem!", i tacy, co — bez żadnych już podstaw — potępiać będą w czambuł wszystkich, którzy „nie przewidzieli tak oczywistych rzeczy". Gdy coś już zaszło, nigdy przecież nie brak „proroków".

Ten odmienny od przewidywanego przebieg walk początkowych stwarza w umysłach mało krytycznych, zwykłych brać pozory za istotę rzeczy i nie zadających sobie trudu, by z pod osadu czynników przypadkowych, czy drugorzędnych odsłonić sedno rzeczy — ślepą wiarę w nowe środki i twierdzenie, że wojna całkowicie zmieniła swe oblicze i że wszystkie środki dotychczasowe należy po prostu odrzucić na śmietnisko muzealne.

Tymczasem w miarę trwania wojny pewne jednostronności, wynikłe z czynników często zupełnie przypadkowych, nieraz zaś z owej bezradności, jaką zawsze wywołuje zaskoczenie, zaczynają się wyrównywać i rzekomo odrzucone „stare" bronie odnajdują nowe, niemniej ważne miejsce w całokształcie walki.

I tak np. w poprzedniej wojnie gorliwi wielbiciele artylerii chcieli jej przyznać koronę bitew kosztem rzekomo zdetronizowanej piechoty — aż rok 1918 pokazał, że piechota nadal pozostała decydującym czynnikiem boju. Podobnie w 1939, 1940 i 1941 r. jak liczne były głosy, tak w naszej jak i w obcej literaturze twierdzące, że na polu walki pozostała jedynie broń pancerna i lotnictwo, wszystkie zaś inne bronie, to w najlepszym razie tylko ciury obozowe tego nowoczesnego rycerstwa! A tymczasem od roku już wiemy, że rola, jaką piechota odgrywa w walce coraz bardziej potężnieje i jej znaczenie o wiele przewyższa nawet znaczenie piechoty z 1918 r.

Pośród tych różnych głosów skazujących na zagładę tę czy inną broń pojawiły się i takie, które dzięki zapatrzeniu w wspaniały rozkwit lotnictwa — chciałyby mu oddać atrybuty wszystkich innych broni i m. in. w lotnictwie bombardującym widzą spadkobiercę artylerii, która w niedługim już czasie w ogóle zostanie usunięta z rzędu uczestników walki.

Wspaniałe sukcesy lotnictwa bombardującego na polach bitew w latach 1939 — 1941 z jednej strony, z drugiej zaś brak błyskotliwych nowości w dziedzinie artylerii, jak np. w wojnie poprzedniej moździerz 42 cm, lub działo przeciwparyskie, wszystko to zdawało się potwierdzać mniemanie, że artyleria już się przeżyła.

Rozpatrzmy bliżej to zagadnienie.

I.

W jednej z francuskich książek o artylerii znalazłem paradoksalne — zdawałoby się — określenie, że „najważniejsza częścią działa jest... pocisk". Paradoks ten podaje z prawdziwie galickim „esprit" głęboką prawdę. Gdy zechcemy bowiem zastanowić się nad tym, co to jest działo, to najtrafniejszym chyba określeniem będzie: — jest to narzędzie do wyrzucania dużych pocisków na znaczną odległość. Zapewne, „duży" i „znaczny" są to pojęcia bardzo nieokreślone. W epoce rzymskich „tormentów" „duży" pocisk ważył 40 kg, a „znaczna odległość" wynosiła 1000 m. W 1918 r. ciężar pocisku sięgał do 2000 kg, (haubica kolejowa Schneidera 52 cm) a donośność do 130 km (działo przeciwparyskie).

W każdym razie działo wyrzuca pociski cięższe niż te, które może wyrzucić broń ręczna oraz na dalsze odległości. I właśnie w tej dalekości strzału dział tkwi przyczyna, że słynne w 1916 r. powiedzenie „artyleria zdobywa, piechota zajmuje", jest z gruntu fałszywe. Przez działanie z daleka można niekiedy osłabić wolę przeciwnika do tego stopnia, że skapituluje bez dalszej walki, można go zabić. Ale — podobnie, jak bliskie nam dziś Jerycho padło nie tylko dlatego, że mury jego runęły na odgłos trąb, ale również i dlatego, że za trąbami tymi byli ludzie gotowi wykończyć dzieło zniszczenia zapoczątkowane przez trąby — podobnie i nieprzyjaciela, który chce się bronić, pokonać można — jeżeli choć jeden człowiek pozostał przy życiu lub też, jeśli są odwody, które można ściągnąć na miejsce — tylko wtedy, jeżeli tam przyjdzie ktoś zdecydowany złamać napotkany opór w walce człowieka z człowiekiem.

Toteż artyleria nie będzie nigdy królową pola bitew. Lecz niemniej rola jej — w tej czy innej postaci — zawsze będzie decydująca, a głos jej — grzmotem zwiastującym zwycięstwo.

W tej, czy innej postaci... Istotnie bowiem jest przecież rzeczą obojętną, czy pocisk ugodzi w cel, wyrzucony sprężystością skręconych kiszek bydlęcych, jak w rzymskiej machinie miotającej, czy energią chemiczną zawartą w prochu, czy też energią elektryczną dział elektrycznych, o których ongiś wiele mówiono, czy wreszcie zrzucony przez szybujący w przestworzach samolot.

Potężny wzrost lotnictwa bombardującego, jego zasięgu i mocy jego bomb stanowi niezmiernie groźną konkurencję dla działa i wydawać się może, że niedługo już działo przejdzie do lamusa wspomnień, jak jego poprzednik, rzymska machina miotająca.

Oczywiście, trudno przewidzieć przyszły rozwój wypadków, zwłaszcza w dziedzinie tak szybko ulegającej ewolucji, jak technika wojenna. Spróbujmy jednak drogą analizy cech obu tych konkurentów określić możliwości każdego z nich w zakresie miotania pocisków i na tej podstawie ustalić ich podział pracy w chwili obecnej, oraz perspektywy na przyszłość.

Aby uniknąć nieporozumień, zaznaczam, że pod słowem „samolot" rozumiem w niniejszych rozważaniach jedynie samolot bombardujący, a nie samolot strzelający z broni pokładowej, a więc działa lub k. m. Wtedy bowiem — z rozpatrywanego przez nas punktu widzenia — jest on tylko latającą podstawą broni, a więc zmianą sposobu transportu działa, a nie jego istoty technicznej.

II.

Jeżeli pocisk ma spełnić swe zadanie, to nie wystarczy, aby upadł byle gdzie. Pocisk bowiem wtedy tylko odniesie zamierzony skutek, jeżeli spełnione zostaną równocześnie cztery następujące warunki:

1) uderzy on we właściwe miejsce;
2) wywrze odpowiednie działanie;
3) osiągnie cel we właściwym czasie;
4) warunki powyższe spełni możliwie najmniejszym kosztem.

Zacznijmy od czynnika pierwszego, który sprowadza się do zagadnienia celności.

W tym zakresie w artylerii trudno spodziewać się jakichś rewelacyjnych nowości. Postęp w latach od 1918 do 1939 był na tym polu stosunkowo nieznaczny. Istotnie bowiem możliwe są jeszcze postępy w opanowaniu zjawisk zachodzących w lufie i u jej wylotu, gdzie dużo już zrobiono, ale sporo jeszcze zostaje do zrobienia; lecz nawet gdyby usunięto zupełnie to źródło niecelności, to wzrośnie tylko celność na odległościach

Bombardowanie lotnicze

bliskich, gdzie i dziś zwłaszcza w działach przeciwpancernych jest ona przecież zupełnie zadowalająca. Na dalsze odległości, np. ponad 10 km, wpływ będzie minimalny. Tam bowiem decydującą rolę odgrywa zdolność pocisku do przeciwstawiania się zmiennym w czasie lotu wpływom atmosferycznym, a zwłaszcza prądom powietrznym. A tu niewiele już zrobić można. Jedyną realną drogą jest powiększenie szybkości pocisku i to nie tylko u wylotu, lecz i na całym torze. Są to rzeczy mało prawdopodobne. Przede wszystkim bowiem duża szybkość początkowa nie zawsze jest pożądana przy strzelaniu z dział. Ponadto obecnie w działach stosowana szybkość niewiele da się już powiększyć tak długo, jak długo energia chemiczna — w jakiejkolwiek postaci — służyć będzie do miotania pocisków. A znalezienie nowego źródła energii, potężniejszego, a równocześnie łatwo przenośnego, to ciągle jeszcze muzyka dalekiej przyszłości, zarówno w technice cywilnej, jak i wojennej.

Toteż dziś, przy strzelaniu na dalekie odległości celność działa szybko maleje. Wystarczająca jeszcze przy strzelaniu nowoczesnych dział okrętowych, czy nadbrzeżnych na jakieś — powiedzmy — 30 km, spada następnie tak szybko, że np. przy strzelaniu na Paryż w 1918 r. z odległości 128 km zaledwo 60% pocisków padło na miasto, pomimo że jest ono olbrzymim kołem o średnicy 11 km.

Ewentualne ostrzeliwanie Londynu z dział umieszczonych na wybrzeżu francuskim, technicznie dziś zupełnie możliwe (odległość 145 do 150 km), nie miałoby lepszych wyników, pomimo średnica Londynu jest znacznie większa niż średnica Paryża.

Jedyną drogą na jakiej można — przy stosowaniu energii chemicznej do poruszania pocisków — wydatnie powiększyć ich szybkość, są pociski rakietowe, jedna z tych „tajemniczych" broni, którymi dziś Niemcy grożą światu. Strzelanie takimi pociskami na duże nawet odległości jest przy dzisiejszym stanie techniki możliwe, celność jednak takiego strzelania musi być znikoma. Poza bowiem wpływami zmiennej atmosfery, tak ujemnie wpływającymi na celność pocisków normalnie wystrzelonych z dział — czego napęd rakietowy zmienić nie może, dochodzą jeszcze i czynniki inne. W pierwszym rzędzie kierunek początkowy będzie w pociskach rakietowych zawsze znacznie mniej ściśle ustalony, skoro pocisk wylatuje przy małej szybkości, uniemożliwiającej „sztywne" utrzymanie kierunku nadanego. Następnie trudności uregulowania napędu rakietowego, który w 1939 r. był jeszcze w powijakach, i który zawsze będzie z natury rzeczy — mniej dokładny, niż przebieg spalania się prochu w lufie — stworzą przy długim locie warunki wysoce niekorzystne dla celności. Wreszcie pocisk napędzany na torze, a nie kierowany ręką człowieka jak samolot, zawsze będzie miał tendencję do przypadkowych zmian kierunku, a więc do wielkiego rozrzutu. W rezultacie, celność pocisków rakietowych strzelanych na dalekie odległości długo jeszcze będzie wręcz iluzoryczna.

Jak więc widzimy, dalsze polepszanie celności dział jest już dość ograniczone.

III.

Inaczej w samolocie. Tu jeszcze dużo jest do zrobienia.

Dziwnym może się wydawać, że po wspaniałych wynikach nalotów angielskich na miasta niemieckie mówię o „niecelności" bombardowań. Ale należy pamiętać, że przy bombardowaniu celów takich, jak Berlin lub Hamburg pomyłka nawet o kilometr nie zmieni wyniku. Natomiast w walce polowej tego rodzaju różnica czyniłaby bombardowanie wręcz bezcelowym.

Rozrzut samolotu zależy przede wszystkim od człowieka. Trudność dokładnego uchwycenia celu, ścisłego wycelowania przy dużej szybkości lotu, reakcja psychologiczna, tj. czas między chwilą, gdy oko uchwyci cel, a ręka naciśnie guzik (rzędu 0,1 do do 0,2 sek.), wszystko to powoduje, że celność bombardowania maleje wraz z rosnącą szybkością lotu. Lepsze celowniki, ostrzejsze widzenie przez zawsze mniej lub więcej zamglone powietrze (użycie do tego celu np. podczerwieni) może ten czynnik błędu zmniejszyć, nigdy jednak całkowicie go nie usunie. Ponadto, co jest niezmiernie ważne, samolot — w przeciwieństwie do działa — nie może się „wstrzelać" i najdłuższe nawet bombardowanie nie polepsza jego celności.

Drugim źródłem niecelności są warunki, w jakich bomba opuszcza samolot. Kierunek początkowy jest tu daleko mniej pewny, niż w dziale. Samolot wykonuje w czasie lotu zawiłe ruchy drgające, co powoduje, że choć pilotowi wydaje się, iż leci zupełnie poziomo i prosto na cel — w rzeczywistości jednak bomba może pójść nieco bliżej lub dalej, w prawo, czy lewo, otrzymując przy tym przyśpieszenia poprzeczne, niezmiernie ujemnie wpływające na jej celność.

I tu postęp jest możliwy, np. przez lepszą stabilizację lotu samolotu, ale zawsze warunki wylotu bomby będą znacznie gorsze, niż pocisku działa.

Bomba odrywając się od samolotu przebywa drogę poprzez powietrze zaburzone lotem samolotu, co znów w sposób niekorzystny narusza jej równowagę. I ten czynnik można zmniejszyć, nigdy usunąć.

Na koniec, tak niekorzystnie i na pocisk artyleryjski wpływające czynniki atmosferyczne, na bombę działają jeszcze silniej, gdyż szybkość bomby jest u wylotu mała, równa szybkości lotu samolotu.

W rezultacie przy tej samej a nawet nieco mniejszej odległości celność bomby jest znacznie gorsza od celności pocisku.

Celność bomby można znacznie powiększyć przez zbliżenie się do celu i lot prosto na cel, a więc przez bombardowanie z nurkowania. Cały szereg czynników ujemnych, opisanych wyżej, tutaj odpada. Ale i tu są trudności. Przede wszystkim przy tego rodzaju bombardowaniu samolot jest bardzo silnie narażony na zestrzelenie z ziemi — i to jest jedna z głównych przyczyn, dlaczego nurkowce niemieckie, tak dokuczliwe w Polsce i Francji, dziś coraz rzadziej pojawiają się na polu bitwy. Dalsza trudność tkwi nie w technice, ale... w człowieku. Samolot nurkujący leci prawie pionowo w dół, a po wypuszczeniu bomby zmienia lot na poziomy, aby nie rozbić się na ziemi. Opisuje więc łuk. Otóż takie jest przykre prawo mechaniki, że przy opisywaniu łuku siła odśrodkowa jest tym większa, im większa szybkość lotu, a łuk ostrzejszy. Tymczasem organizm ludzki nie wytrzymuje zbytnich sił odśrodkowych. Gdy przekroczą one pewną granicę, człowiek traci przytomność (co nieraz miało miejsce przy bombardowaniu z nurkowania), a przy większej jeszcze sile umiera od obrażeń wewnętrznych. Aby więc utrzymać tę granicę, w dopuszczalnych granicach, trzeba albo zakreślić łagodniejszy łuk, a więc wypuścić bombę wyżej, albo lecieć wolniej, a więc narazić się na łatwiejsze zestrzelenie. I tak źle i tak niedobrze.

Ostatecznie więc można powiedzieć, że tam, gdzie działo może podejść na odległość tę samą co samolot, lub niedużo większą (przy czym odległość należy liczyć w linii prostej, a nie w poziomie), tam celność jego jest obecnie — i długo jeszcze pozostanie — bez porównania większa od celności samolotu. Tam jednak, gdzie samolot może podejść dużo bliżej od działa, a więc przy zwalczaniu celów dalekich, celność samolotu jest znacznie lepsza, niż celność działa.

(Dokończenie nastąpi)

POLSKA W PORZĄDKU MIĘDZYNARODOWYM

Przedrukowujemy poniżej trzon artykułu wstępnego londyńskiej „Myśli Polskiej" z dn. 15 października ub. r., poświęconego konferencji moskiewskiej ze względu na niezwykłą trafność jego sformułowań.

Wojna jest światowa i pokój po niej również musi być światowy. Zatem uzgodnić trzeba politykę w skali światowej. Obok wspólnej woli pokonania Niemców winna powstać wspólna wola urządzenia świata wedle przyjętych zasad. Takie jest tło ogólne. Na tym tle uwypuklają się szczególne zagadnienia tych terenów na kuli ziemskiej, gdzie stykają się interesy trzech obradujących mocarstw w sposób bardziej bezpośredni, jak na Środkowym Wschodzie, na Dalekim Wschodzie i w Europie środkowej. Z tych terenów z kolei wysuwa się na plan pierwszy obszar, gdzie zetknąć się mogą w niedalekiej przyszłości siły zbrojne zachodnich sprzymierzeńców ze wschodnim, tj. międzymorze bałtycko-czarnomorskie.

Uzgodnienie zasady organizacji świata nie jest w gruncie rzeczy zagadnieniem ani natury gospodarczej, ani ustrojowo-politycznej, jest sprawą natury ogólniejszej i bardziej podstawowej, w której mieszczą się podstawy rozwiązań ekonomicznych i ustrojowych. Świat w ciągu ostatnich dwóch stuleci przeszedł olbrzymie przeobrażenie, wywołane rozwojem przemysłu mechanicznego i komunikacji. Ten przemysł, początkowo zgrupowany wyłącznie niemal w paru krajach zachodnio-europejskich, naturalną rzeczy koleją zaczął się upowszechniać we wszystkich krajach i we wszystkich częściach globu. Położenie, w którym wielkie obszary kolonialne dostarczały taniego surowca, a całe bogactwo materialne i kulturalne świata skupiało się w kilku krajach europejskich, jest bezpowrotnie skończone. Świat poszedł drogą demokratyzacji gospodarczej, ku wyrównaniu poziomów życia. Przyspieszyła ten rozwój pierwsza wojna światowa ułatwiając powstanie przemysłów europejskich i rozbudowę ich tam, gdzie już istniały. Uczyniła ona Stany Zjednoczone pierwszą potęgą gospodarczą świata, pchnęła w kierunku industrializacji Kanadę i Południową Afrykę. Okres między wojnami był epoką takiej samej przemiany w Europie wschodniej, gdzie nie tylko powstał wielki przemysł rosyjski, ale także początki przemysłu na dużą skalę w innych krajach środkowej Europy, w pierwszym rzędzie w Polsce. Niemcy ujrzały, że możliwości życia z eksploatacji zapóźnienia rozwoju gospodarczego ich południowych i wschodnich sąsiadów przepadają. Ich wojna była wojną reakcyjną w tym znaczeniu, że jej celem było przerwanie procesu demokratyzacji gospodarczej świata, uwstecznienie wschodniej części Europy i narzucenie siłą niemieckiej władzy gospodarczej, która inaczej musiała stracić wszelkie podstawy. Gdyby nie narzuciły sąsiadom tej wojny obecnie, za lat kilkanaście, wobec przemian gospodarczych, nie miałyby szans jej wygrania.

Demokratyzacja gospodarcza świata szła równolegle z jego demokratyzacją polityczną, to jest zastąpieniem zasady władzy należącej do rodu panującego przez zasadę władzy należącej do narodu. Niema siły, która by dziś mogła zastąpić podmiot polityki światowej, jakim jest nowoczesny naród, przez jakikolwiek inny podmiot. Naturalną linią rozwoju cywilizacji białego człowieka jest droga do organizacji świata opartej na państwach narodowych, posiadających mniej więcej równy poziom życia gospodarczego, mniej więcej ten sam stosunek ilościowy rolnictwa do przemysłu i wymieniających między sobą dobra gospodarcze i kulturalne na podstawie mniej więcej równej.

Tej ewolucji przeciwstawia się koncepcja niemiecka, antynarodowa, antydemokratyczna i antycywilizacyjna. Jest to koncepcja podziału świata na kilka wielkich bloków pozostających w absolutnej władzy kilku najsilniejszych narodów. I tak Europą miałyby władać Niemcy, Ameryką — Stany Zjednoczone, wschodem europejskim i północną Azją — Sowiety, wschodnią Azją — Japonia, poza tym zaś istniałby blok brytyjski i blok muzułmański. Tak głosili Niemcy przed wojną i tak w jej początku sformułował plany niemieckie w wielkim dziele ekonomicznym czołowy myśliciel Niemiec hitlerowskich, Ferdynand Fried.

Plan niemiecki, jakkolwiek barbarzyński, był logiczny. Próby przyjęcia go przez narody zjednoczone byłyby samobójstwem, ponieważ musiałyby prowadzić w dalszej konsekwencji do urzeczywistnienia planu niemieckiego. Brytyjska Wspólnota Narodów jest oparta na jedności kulturalnej i powiązaniach handlowych, na łączności poprzez szlaki morskie, ale nie jest blokiem „geopolitycznym", militarno-ekonomicznym. Roli władcy Europy w zastępstwie Niemiec odegrać nie jest w stanie. Chiny są jeszcze wciąż dopiero w początkach swego odrodzenia i na Dalekim Wschodzie Japonii nie zastąpią. Albo zatem w wyniku ostatecznym powstałyby bloki japoński i niemiecko-europejski, albo miejsce Niemiec i Japonii zajęłaby Rosja, co równałoby się jej panowaniu nad światem.

Kto sobie nie życzy rozwoju wydarzeń w jednym z tych dwóch kierunków, dążyć musi do demokratycznej organizacji świata, opartej na państwach narodowych, pełnych gospodarczo. Klucz do rozstrzygnięcia, po której drodze ma pójść przyszłość świata, leży w Europie środkowej.

Gdyby nie bitwa pod Lignicą, Mongołowie opanowaliby cały kontynent europejski. Gdyby nie bitwa pod Grunwaldem, Niemcy opanowaliby cały kontynent europejski. Gdyby nie bitwa pod Wiedniem, Turcy opanowaliby cały kontynent europejski. Gdyby nie bitwa pod Warszawą, bolszewicy opanowaliby cały kontynent europejski. Gdy Niemcy pokonali Polskę we wrześniu, podbili potem cały kontynent europejski. Nie jest to seria przypadków. Jeśli nie będzie niepodległej Europy środkowej, nie będzie w ogóle Europy, w znaczeniu cywilizacyjnym.

Obszar Europy środkowej, oparty na południu o Morza Adriatyckie i Czarne, zwęża się ku północy i tam jedynie największy z narodów środkowo-europejskich, Polska, dzieli Niemcy od Rosji. Bez Polski inne kraje środkowo-europejskie nie mogą zachować niepodległości. Polska jest nie tylko pojęciem narodowym, ale i geograficznym. Każdy naród posiada jakieś minimum terytorium, bez którego nie może istnieć w postaci państwa niepodległego.

Polska ma niejako cztery węgły, bez których nie może być państwem niepodległym. Dwa leżą na zachodzie, dwa na wschodzie. Pomorze zapewnia dostęp do Bałtyku a przezeń do świata, daje niezależność polityczną i gospodarczą. Bez Pomorza i Gdyni Polska musiałaby skapitulować całkowicie przed Niemcami w latach dwudziestych, nie mogłaby prowadzić wojny celnej, nie mając żadnych szans obrony stałaby się wasalem Niemiec i nigdy by im się nie była zdolna przeciwstawić z bronią w ręku. Niemcy od dawna byliby już na Kremlu i podział świata na bloki byłby faktem dokonanym. Uzupełnieniem Pomorza jest Śląsk. Daje on Polsce jej najważniejsze surowce, bez których nie mogłaby mieć przemysłu czyli warunku niezbędnego niepodległości. Daje on jej także dostęp do Bramy Morawskiej, przez którą szła zawsze łączność Europy z Polską.

Dwa pozostałe węgły Rzeczypospolitej leżą naprzeciw tamtych na wschodzie. Południowy z nich, lwowski, daje dostęp do Węgier i Rumunii, do dróg wiodących do ciepłych mórz, daje oparcie o długą linię Karpat, daje wreszcie niezbędny w nowoczesnym życiu surowiec, naftę. Północny, wileński, między Prusami Wschodnimi a Rosją, jest odpowiednikiem i koniecznym dopełnieniem Pomorza. Bez niego Europa środkowa byłaby czymś niezmiernie wątłym i nietrwałym.

Wszystkie te cztery węgły są nie tylko Polsce niezbędnie potrzebne do życia, są także niewątpliwie polskie. Są nami i chcą być nami.

Faktem, który pozwala ufać w możliwość przyszłych dobrych stosunków między narodami polskim a rosyjskim, jest, że ściśle terytoria etnograficzne tych narodów nigdzie się nie stykają, że niema takiego miejsca, gdzieby przebiegała granica etnograficzna polsko-rosyjska. Między obszarami rdzennie polskimi a obszarami rdzennie rosyjskimi leżą rozległe ziemie, zamieszkałe przez ludność słowiańską*), która w ciągu dziejów podlegała kolejno wpływom raz jednego, raz drugiego narodu, nie stając się w przeważającej mierze częścią żadnego z nich. Jednakże na dłuższą metę na zachodzie tych obszarów przeważył wpływ polski, część z nich uległa zupełnej polonizacji, której nie zdołało usunąć nawet półtorawiekowe panowanie rosyjskie. Przeciwnie część wschodnia za Dnieprem uległa rusyfikacji. Ziemie dokoła Lwowa i Wilna są polskie. Polskie w nich są miasta i polskie jest wszystko, co przedstawia prawdziwą wartość dla ludzkości cywilizowanej. Nikt nie twierdzi, że ziemie te są spuścizną narodową rosyjską, lub że Rosja bez nich nie może być niezależna i potężna. Natomiast Polacy wiedzą, że bez nich nie zachowają swej niepodległości.

Psychikę narodową polską ukształtowało w znacznej mierze położenie geograficzne Polski. Polacy wiedzą wszyscy bez żadnego dowodzenia, że co inni zachowują skrzętnością i rozwagą, tego oni muszą bronić nieograniczoną ofiarnością. Są przeświadczeni, że z klęsk naród się podnosi a jednostronne ustępstwa wobec silniejszego są wstępem do katastrofy. Polacy, nie bez pewnej racji, mają na zachodzie opinię szaleńców politycznych. Gdyby wszakże nie byli tacy, nie byłoby narodu polskiego od dawna. Toteż psychikę tę niełatwo jest zmienić i trzeba się z nią liczyć jako z faktem, nie tylko wtedy, kiedy jest ona dla innych wygodna, ale i wtedy, gdy stać się może źródłem kłopotów. Przede wszystkim zaś liczyć się z nią muszą sami przedstawiciele Polski.

Polska rozporządza w tej chwili bardzo niewielkimi siłami materialnymi. Tych sił główna część znajduje się w kraju w postaci organizacji tajnych sił zbrojnych. Te siły przerastają wszystkie komórki społeczności narodowej i żyją jej życiem. Jest to atmosfera napiętych uczuć narodowych, heroizmu i ustawicznego obcowania ze śmiercią. W tej atmosferze każdy z czterech węgłów Rzeczypospolitej jest czymś bliskim i drogim, droższym niż życie własne i najbliższych. Każdy, kto zabiera się do rozwalania któregoś z tych węgłów, staje się w pojęciu ludzi stamtąd osobistym, nieubłagalnym wrogiem. Takiej atmosfery nie można lekceważyć.

*) Ukraińska i białoruska (dop. Red.)

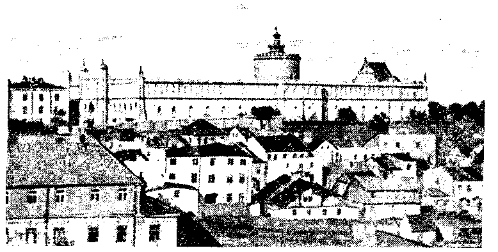

Zamek w Lublinie

Przegląd prasy

„Monopol słuszności" prasy sowieckiej.

Jeden z najbardziej sowietofilskich tygodników angielskich, „The New Statesman and Nation",... popadł w niełaskę. Omawiając wyniki konferencji moskiewskiej, tygodnik londyński wysnuł z faktu uznania niepodległości Austrii wniosek, że Rosja „przestała zasadniczo sprzeciwiać się tworzeniu w Europie wschodniej i środkowej ugrupowań państw" (federacji). „Izwiestia" bardzo energicznie wyprosiły sobie takie tłumaczenie sowieckich intencji. „New Statesman" poczuł się tą odprawą do tego stopnia rozgoryczony, że musiał się poskarżyć w długim, płaczliwym artykule. Usiłuje w nim naprzód wykazać, że jest jednak w zgodzie z poglądami Moskwy, a następnie zastanawia się nad tym, co właściwie mogło skłonić „Izwiestia" do tak ostrego wystąpienia. Oto odpowiedź, jaką znajduje na to smętne pytanie: „Zwyczaj podsuwania prasie burżuazyjnej niskich motywów tak się w Moskwie zakorzenił, iż dziennikarze z „Izwiestii" nie spostrzegli jeszcze, że uczciwa dyskusja nad sprawami wchodzącymi w zakres wspólnych interesów została umożliwiona przez porozumienie moskiewskie, a nawet stała się w związku z tym porozumieniem pożądana." A dalej: „Czy to raczej nie „Izwiestia" właśnie „straciły krok w marszu z konferencją moskiewską"? Gdybyśmy mieli zwyczaj posługiwać się językiem podejrzeń i obelg, który czasem kala skądinąd podziwu godne kolumny „Izwiestii" — musielibyśmy wnosić z szorstkiego sposobu referowania naszego artykułu, że to właśnie „Izwiestiom" brak owej dobrej woli do harmonijnego współdziałania z nami, Anglikami, jakiej domagało się porozumienie moskiewskie. Nie wyciągamy wszakże takiego wniosku, sądzimy raczej, że ci, którzy piszą dla „Izwiestii" są tak źle poinformowani o Anglii, jak dziennikarze brytyjscy bywali źle poinformowani o Sowietach. Najwidoczniej nie umieją oni odróżnić krytycznych uwag prawdziwych przyjaciół od taktycznego milczenia tych, którzy zawsze byli ich wrogami. Przybierają oni postawę zaufania w sobie, jak gdyby wszelka słuszność była monopolem dziennikarstwa sowieckiego, a wszelka odmienna opinia mogła tłumaczyć się tylko nieuczciwymi lub zgoła podejrzanymi motywami." By na przyszłość uniknąć tego rodzaju nieporozumień, „New Statesman" zaprasza redakcję „Izwiestii" na wycieczkę do Anglii, gdzie będzie mogła przekonać się, „jakie gazety są istotnie wrogie Sowietom, a jakie szczerze życzliwe".

Polska armia podziemna

Angielski tygodnik „Time and Tide" zamieścił 27 listopada artykuł o polskiej armii podziemnej, w którym podkreśla zdyscyplinowanie i jedność społeczeństwa polskiego w kraju. „Jedyny wyjątek pod tym względem stanowi ruch partyzancki, który jest jednak niewspółmiernie rozreklamowany... Partyzanci nie reprezentują żadnego rodzimego ruchu politycznego, ani żadnej klasy społecznej — co więcej, w ruchu tym jest w ogóle niewielu Polaków. Partyzantów spotyka się tylko we wschodniej części kraju i przeważnie są to bandy maruderów. Trudno ustalić ich liczbę — jest ich, jak się zdaje, wszystkiego 30 do 40 tysięcy. Są między nimi dezerterzy z armii rosyjskiej i odcięci od swoich oddziałów maruderzy. Odłączyli się oni od cofających się wojsk sowieckich w r. 1941 i ukryli się w lasach. Można wśród nich spotkać także nieco niemieckich dezerterów. Partyzanci nie atakują nigdy nieprzyjacielskich oddziałów, lecz terroryzują okolice, w których się znajdą, zmuszając mieszkańców do organizowania obrony poszczególnych miejscowości przeciwko ich bandyckim napadom".

O idei „wielkiego narodu"

W pierwszym listopadowym zeszycie „Myśli Polskiej" znajdujemy obszerną recenzję Pawła Janeckiego o świeżo wydanej drugiej części pracy Adama Doboszyńskiego pt. „Wielki Naród". Doboszyński pragnie zastąpić ideę federacji środkowoeuropejskiej — ideą „jednego narodu zachodnio-słowiańskiego". Wskazuje przy tym m. in. na przykład brytyjskiego „Commonwealthu" (wspólnoty narodów).

Janecki uważa ten przykład za fałszywy i stwierdza, że powstanie brytyjskiej wspólnoty narodów wcale nie jest objawem rodzenia się nowego wielkiego narodu, lecz przeciwnie, „Commonwealth, które stanowiło imperium narodu brytyjskiego, staje się związkiem narodów brytyjskiego pochodzenia", narodów, które właśnie „przestają się czuć Brytyjczykami a zaczynają (czuć się) Kanadyjczykami czy Australijczykami".

Najbardziej zapewne typowy przykład Jugosławii także nie świadczy — zdaniem Janeckiego — o powstawaniu nowego narodu. Państwo jugosłowiańskie musiało w chwili wielkiego zagrożenia zewnętrznego zgodzić się na „zasadę rozgraniczenia Serbii i Chorwacji".

Janecki konkluduje: „Mówiąc o tworzeniu jakiejś szerszej jedności w Europie środkowej, należy myśleć przede wszystkim o środkach siły moralnej, intelektualnej i fizycznej. „Qui dit federation, dit federateur" (Kto mówi federacja, mówi federator) — stwierdził lapidarnie głęboką prawdę Bainville. Zamiast mitu wielkiego narodu należy więc raczej tworzyć warunki, w których Polska mogłaby odegrać rolę federatora. Janecki jest tu w zgodzie z Bocheńskim, który niedawno przypominał niechęć, jaką nasi sąsiedzi, z którymi powinniśmy w przyszłości ściślej współpracować niż w ostatnich 20 latach, okazują ideom grożącym im wynarodowieniem lub co najmniej polonizacją ich warstw przodujących. Polska nie jako „wielki naród" rozrastający się kosztem sąsiadów, lecz jako federator, skupiający swoich sąsiadów w zespół państw, zdolny ostać się wobec wspólnych niebezpieczeństw i razem dążyć do wspólnych celów — oto rola Polski w przyszłości.

Przeciwko mrzonkom o „reedukacji Niemiec"

Dwutygodnik londyński „Myśl Polska" zamieścił w numerze z 1 listopada artykuł Andrzeja Karpa pt. „Co zrobić z Niemcami?" Po wyliczeniu szeregu sposobów przebudowy pokonanych Niemiec, autor przytacza kilka frapujących przykładów niezwykłej chłonności opinii anglosaskiej na propagandę niemiecką. Niejednokrotnie już Niemcy zostały od ostatecznej katastrofy uratowane przez swoich wrogów; umieli oni doprowadzić do tego, by Niemcy przestały być c h w i l o w o groźne, a cofali się przed zabezpieczeniem świata od p o n o w n e j agresji niemieckiej.

Wobec groźby klęski Niemcy zawsze chętnie wkładają taką maskę, jaka najbardziej odpowiada zwycięzcom. Ale alianci wtedy równie chętnie wmawiają sobie, że oto mają przed sobą... nowe Niemcy! Nie potrzeba czekać na efekt ewtl. „reedukacji" Niemiec, która będzie kosztowna i technicznie trudna do przeprowadzenia, bo „najlepszym nauczycielem będzie druzgocąca i namacalna klęska." Toteż Andrzej Karp słusznie konkluduje:

„Ważniejszym może nawet od układania planów na p r z e k s z t a ł c e n i e Niemiec jest zdawanie sobie sprawy i propagowanie, czym polityka tego państwa była w przeszłości dla świata i czym może stać się wtedy, gdy koniec wojny zacznie usypiać czujność zagrożonych."

Jak Sowiety pomagają Niemcom na Bałkanach

Szwajcarska „Neue Zuericher Zeitung" zajmuje się w obszernej korespondencji polityką niemiecką na Bałkanach i stwierdza, że jedną z najskuteczniejszych broni, jaką Niemcy operują na Bałkanach, dostarczyła im... Moskwa. Sukcesy dyplomatyczne, jakie Berlin mimo wszystko odnosi w Europie płn. wschodniej, tłumaczą się głównie tym, że narody bałkańskie uwierzyły, iż Bałkany zostały przez Anglosasów uznane za sferę wpływów Rosji Sowieckiej i po wojnie mają być bezpośrednio uzależnione od Sowietów.

Po Bałkanach krąży legenda, że Moskwa założyła veto przeciwko wylądowaniu sił anglosaskich na Półwyspie Bałkańskim. Upadek Mussoliniego i kapitulację króla włoskiego Niemcy również wyzyskali bardzo zręcznie w swojej polityce bałkańskiej. Ogłosili oni, że polityka Berlina wobec Bałkanów napotykała dotychczas na przeszkody ze strony dynastii Sabaudzkiej, której nadmierne ambicje doprowadziły do utraty niepodległości Albanii, do rozbicia Jugosławii i do osadzenia na tronie chorwackim członka włoskiego domu królewskiego.

Obecnie Niemcy likwidują spadek po „zdrajcy Wiktorze Emanuelu". Przywrócili więc niepodległość Albanii i usiłują odbudować Jugosławię (tj. połączyć na powrót Serbię i Chorwację) oraz reorganizować całe Bałkany. Albania zrobiła Berlinowi niespodziankę ogłaszając neutralność w wojnie Niemiec z Anglosasami (poprzedni prowłoski rząd albański wypowiedział sprzymierzonym wojnę!), ale Niemcy i to wykorzystali propagandowo wskazując na Albanię jako na przykład swojej tolerancyjnej polityki.

Jedynym sposobem pozbawienia Niemiec owoców ich nowej polityki bałkańskiej byłaby inwazja sprzymierzonych na Bałkany.

PPŁK DYPL. HENRYK PIĄTKOWSKI

KAMPANIA WRZEŚNIOWA 1939 ROKU W POLSCE

Biblioteka Orła Białego

JEROZOLIMA 1943
NAKŁADEM SEKCJI WYDAWNICZEJ APW

Do nabycia w kasynach oficerskich i sklepach żołnierskich po 30 mls. za egz.

POLSKIM SZLAKIEM

W OPRACOWANIU
DR. J. PILATOWEJ I W. ZAHORSKIEGO

CZĘŚĆ I

KSIĄŻKA ŻOŁNIERZA ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE

Do nabycia w kasynach oficerskich sklepach żołnierskich po 120 mls. za egz.

Wydawca: Oddział Propagandy i Kultury Dtwa Armii Polskiej na Wschodzie. Tłoczono w Drukarni Polowej A. P. W. Adres redakcji i administracji: Polforces ME 58

OSTATNIE WIADOMOŚCI RADIOWE I TELEGRAFICZNE „ORŁA BIAŁEGO"

M. P. 16. I. 1944 r.

WIELKA BITWA CZOŁGÓW POD WINNICĄ

SZTOKHOLM 15.I. (R) — Według nadeszłych tu dziś rano wiadomości, von Mannstein zasilił swoje wojska dokonywujące w rejonie Winnicy niezwykle intensywnych przeciwnatarć, rzucając do walki silne oddziały czołgów. Tocząca się obecnie pod Winnicą bitwa należy do największych jakie stoczono w tej wojnie na froncie wschodnim. Dla rozbicia ataku wielkich mas czołgów niemieckich, Rosjanie używają tak wielkiej ilości dział, jakiej nigdy jeszcze nie skupili na tak małym odcinku frontu. Mimo zamieci, jaka szaleje nad polem bitwy, obie strony rzuciły do walki wielkie siły lotnicze.

W ŁUKU DNIEPRU

SZTOKHOLM 15.I. (R). — Berliński rzecznik wojskowy oświadczył korespondentowi „Dagens Nyheter", że Rosjanie przerwali niemieckie linie w łuku Dniepru w trzech miejscach: na płd.-zachód od Czerkas, na płd.-zachód od Dniepropietrowska i na zachód od Kirowogradu, gdzie toczą się szczególnie ostre walki.

FILM O PROCESIE CHARKOWSKIM

LONDYN, 15. I. (R) — Radio moskiewskie donosi, że został sporządzony film dokumentarny z procesu charkowskiego przeciwko jeńcom niemieckim. Na filmie utrwalono ślady okrucieństw, popełnionych przez Niemców, następnie śledztwo przeciwko oskarżonym, zeznania świadków, mowę prokuratora, a wreszcie wyrok i jego wykonanie. Film ten już w najbliższych dniach ma być wyświetlany.

BOMBARDOWANIE RÓWNEGO

SZTOKHOLM 15.I. (R) — Nad terytorium polskim rozpoczęły się ciężkie walki powietrzne. Wielkie ilości bombowców sowieckich atakują niemieckie linie kolejowe w Polsce wschodniej, przy czym dochodzi do zaciętych walk powietrznych. Równe było w ciągu ubiegłej nocy silnie bombardowane; atakowano również obiekty kolejowe.

BITWA POD KOWLEM

ROZGŁOŚNIA ATLANTYCKA, 15. I. (R) — Rosjanie przerwali front niemiecki na wschód od Kowla. W okolicach tego miasta toczy się obecnie wielka bitwa.

SZTOKHOLM 15.I. (R) — O sytuacji na froncie w Polsce donoszą korespondenci szwedzcy: Po zajęciu Sarn wojska rosyjskie posuwają się w kierunkach północnym, zachodnim i południowym. Działają tu już bardzo silne rosyjskie oddziały pancerne i piechoty. W kierunku zachodnim czołgi sowieckie posuwają się wśród nieustannych walk ku Kowlowi. Na zachód od Kowla Niemcy skoncentrowali wielkie ilości czołgów, które są jednak stale atakowane z powietrza przez przeważające siły rosyjskiego lotnictwa bombowego. Lekkie czołgi sowieckie posuwają się szybko wzłuż linii kolejowej Sarny-Równe i zbliżają się już do Równego. W kierunku na Równe posuwają się także inne oddziały sowieckie, które przekroczyły granicę polską w nowym miejscu i zajęły Korzec. Muszą one pokonywać wielki opór wojsk niemieckich. Rzecznik berliński oświadczył dziś rano: „Na zachód od Sarn pod Równem oraz w kierunku na Zdołbunów wojska nasze stoją w ciężkich zmaganiach z przeważającymi siłami nieprzyjaciela".

MOZYRZ OTOCZONY

LONDYN, 15.I. (R) — Jak donosi korespondent Reutera w Moskwie, Duncan Hooper, siły niemieckie w rejonie Mozyrza i Kalinkowicz skazane są na całkowite zniszczenie. Wojska gen. Rokossowskiego otoczyły już całkowicie Mozyrz i posuwają się na Kalinkowicze.

CIOSY W NIEMIECKĄ PRODUKCJĘ LOTNICZĄ

LONDYN 15.I. (R) — W czasie wtorkowego nalotu amerykańskich „fortec latających" na niemieckie fabryki myśliwców zniszczono — jak wynika z danych, ogłoszonych w czwartek w nocy — 152 niemieckie myśliwce.

Ten sam komunikat stwierdza, że po za tymi fabrykami zbombardowano centrum budowy wagonów kolejowych w Bielefeld oraz urządzenia w zakładach zbrojeniowych w Meppen nad kanałem dortmundzko-emskim.

Ostatnie zdjęcia lotnicze wykazują, że nalot na Aschersleben — główną fabrykę wyrabiającą samoloty typu Focke-Wulf 190 — poważnie uszkodził ził bombami kruszącymi i zapałającymi budynki i urządzenia fabryczne. Główna hala maszyn tej fabryki trafiona była dziewięć razy. Dziesięć lejów bombowych można naliczyć na lotnisku, położonym na wschód od tych zakładów. Pięć razy trafiono tor kolejowy, prowadzący do fabryki.

Wielka ilość bomb spadła na fabrykę myśliwców i bombowców w Brunświku, gdzie główna hala trafiona została siedem razy. Uszkodzone zostały również poważnie fabryki Junkersa w Halberstadt i w Bielefeld. Jak się zdaje, trafione zostały również służy na kanale dortmundzko-emskim niedaleko Huntel, na pn. od Meppen.

JESZCZE JEDNA „TAJEMNICZA BROŃ"

LONDYN, 15. I. (R) — Niemiecka rozgłośnia zamorska donosi, że w ostatniej wielkiej bitwie powietrznej nad Niemcami użyto po raz pierwszy przeciwko bombowcom amerykańskim „bomb balonowych". Speaker oświadczył: „Miny powietrzne — jak eksperci niemieccy nazywają bomby balonowe — windowano przy pomocy myśliwców ponad atakujące eskadry bombowców na wysokość ok. 4.000 m. Użyto tu metody, podobnej do holowania ślizgowców. W dogodnym momencie uwalniano minę powietrzną od dwóch lin, na których była umocowana. Miny miały skutek miażdżący. Liczne niemieckie myśliwce były ponadto zaopatrzone w broń rakietową, z której ostrzeliwały bombowce z dużej odległości, jak w działaniach na morzu".

„GWIAZDA BITWY O ANGLIĘ"

LONDYN, 15.I. (R) — Do premiera Churchilla zwrócono się z propozycją ustanowienia orderu „Gwiazda Bitwy o Anglię" (The Battle of Britain Star). Ma to być przede wszystkim odznaczenie dla członków „obrony cywilnej", lecz projektodawca, mjr. Sir Jocelyn Lucas, który był dwukrotnie ranny, gdy w czasie nalotów na Londyn pełnił służbę w straży ogniowej, pragnie, by odznaczenie to było jednolite dla wszystkich uczestników walki o Anglię, począwszy od pilotów, a kończąc na strażakach i służbie bezpieczeństwa, nie wyłączając kobiet.

BEZPIECZEŃSTWO NA MORZACH

LONDYN, 15. I. (R) Brytyjskie towarzystwa ubezpieczeniowe obniżyły niektóre stawki ubezpieczeniowe dla żeglugi morskiej. Stawka dla statków kursujących między Anglią a Australią została obniżona z 9, 5 do 8 procent, dla żeglugi między Płd. Ameryką a Zachodnią Afryką nawet z 10 do 7,5 procent.

NAD ANGLIĄ

LONDYN 15.I. (R) — Ubiegłej nocy operowały nad wschodnią i płd.-wschodnią częścią Anglii słabe niemieckie siły lotnicze. Wyrządzono drobne szkody; ofiar nie było.

Z frontu włoskiego

OFENSYWA LOTNICZA NA NIEMCY NIE ZMALEJE

LONDYN 15.I. (R) — W wywiadzie, przeprowadzonym drogą radiową przez amerykańskie agencje prasowe w Waszyngtonie z gen. Peck'iem z RAF'u oraz z amerykańskim gen. Spaatz'em, ten ostatni odpowiadał na pytanie, „czy możemy liczyć na stały wzrost tempa nalotów dziennych na Niemcy?"

Gen. Spaatz odpowiedział twierdząco i oświadczył m. in.: „Mamy szereg powodów, by móc na to liczyć. Pierwszym jest nieustanny wzrost naszej produkcji lotniczej. Drugim jest stały napływ doskonale wyszkolonego narybku lotniczego, i to zarówno pilotów jak i personelu obsługi. Po trzecie rozporządzamy już dziś olbrzymim zapasem doświadczenia. Wreszcie, samoloty nasze są obecnie tak wyposażone, że świetnie dajemy sobie radę z najgorszym przeciwnikiem na europejskim teatrze wojny — z pogodą. Poza tym mogę powołać się na dalsze udoskonalenie uzbrojenia naszych bombowców, na wzrost ich nośności oraz na powiększony niezmiernie zasięg naszych myśliwców."

Gen. Spaatz dodał, że ostatnie myśliwce niemieckie są lepsze od tych, z którymi Amerykanie spotykali się dotychczas. Lecz tylko niewielka ich ilość jest nowego typu. Pewna ich ilość — budowana wg. dawnych wzorów — zaopatrzona jest w techniczne inowacje. Gdyby nie stałe udoskonalenia samolotów alianckich i gdyby nie coraz doskonalsza taktyka pilotów RAF'u i AAF'u, te innowacje niemieckie mogłyby się dla sprzymierzonych stać poważnym problemem. Niemcy mają jeszcze pewną ilość dobrych pilotów myśliwskich, ale ilość ta stale się zmniejsza tak, że dziś już większość pilotów niemieckich nie dorównywa alianckim.

Na pytanie o rozmiary zniszczeń, dokonanych w Niemczech przez lotnictwo sprzymierzonych, odpowiadał gen. Peck. Oświadczył on: „Ponad 90 niemieckich miast przemysłowych z czego 20 należy do największych w kraju, na długo przestała być centrami produkcji przemysłowej, a w najbliższym czasie listę tę będzie można powiększyć o 50 dalszych. Skutki ofensywy lotniczej sprzymierzonych *akumulują* się z biegiem czasu. Ludzie przeważnie nie zdają sobie sprawy jak destrukcyjnie ataki te działają na niemiecką produkcję zbrojeniową."

Gen. Spaatz powiedział, że Niemcy mogli chwilowo odnosić pewne sukcesy dzięki zastosowaniu broni rakietowej, wmontowanej w ich jedno- i dwumotorowe myśliwce, lecz możliwe to było tylko wtedy, gdy mieli przed sobą nasze bombowce, które nie mogły być eskortowane przez myśliwców na całej drodze ku odległym celom. Myśliwce z bronią rakietową miały rozbijać wielkie formacje bombowców i zmniejszyć w ten sposób ich siłę ognia. Celu tego jednak nie osiągnęły, a siła ognia alianckich formacji bombowych pozostała skoncentrowana i skuteczna. Gen. Spaatz sądzi, że nadzieje, jakie Niemcy pokładali w tej nowej broni, zostały zawiedzione.

Na pytanie, czy Berlin stanie się nowym Hamburgiem, gen. Peck odpowiedział, że wszystkie niemieckie miasta przemysłowe — a Berlin należy do największych z nich — będą niszczone w miarę możności. „Lubimy zmieniać cele — twierdził gen. Peck — nieustanne bombardowanie jednego celu mogłoby Niemcom zbytnio ułatwić obronę."

ROCZNIK 1928...

SZTOKHOLM, 15.I. (R) — Zarządzona w Niemczech totalna mobilizacja jest w pełnym toku. Do wojska powołuje się już liczne tysiące 16-letnich chłopców. Kontrolę nad totalną mobilizacją objął szef gestapo Himmler, który jest równocześnie ministrem spraw wewnętrznych Rzeszy. Wielkie garnizony z Prus Wschodnich i Śląska, które trzymano w tych prowincjach jako „żelazną rezerwę", przenosi się obecnie pośpiesznie na front wschodni. Obowiązujący ludność cywilną w Polsce i krajach bałtyckich zakaz podróżowania koleją został rozciągnięty na Niemcy Wschodnie i Środkowe. Jak donosi „Stockholms Tidningen", Niemcy rozmontowują maszyny wielkich zakładów zbrojeniowych, które dopiero niedawno przeniesiono z okręgów bombardowanych do Polski i przesyłają je do „Protektoratu".

NISZCZENIE NIEMIECKICH REZERW LOTNICZYCH

SZTOKHOLM, 15. I. (R) — Znany szwedzki pisarz lotniczy płk. Peterson nawiązuje do oświadczenia amerykańskiego generała lotnictwa Spaatz'a w sprawie dalszego wzrostu natężenia ofensywy lotniczej aliantów i pisze: „Rozpoczną się teraz olbrzymie bitwy powietrzne nad Europą, które będą stanowiły przygrywkę do nadchodzącej inwazji. Niemcy rzucają do walki wielkie ilości myśliwców, chociaż nie mają poważniejszych rezerw. W ten sposób anglosaskie ataki lotnicze osiągają dwa cele naraz: przez bombardowania wyrządzają szkody na ziemi, w walkach z myśliwcami niemieckimi zmniejszają niemieckie rezerwy lotnicze, co okaże się fatalne w skutkach, gdy Niemcy będą musieli atakować lądujące wojska Sprzymierzonych".

REJON M. ŚRÓDZIEMNEGO

Z FRONTU WŁOSKIEGO

LONDYN 15.I. (R) Francuskie radio w Algerze donosi: „Na całym froncie włoskim wojska amerykańskie, brytyjskie i francuskie maszerują naprzód".

WALKI POWIETRZNE NAD RZYMEM

BERLIN, 15.I. (R) — DNB donosi, że w czwartek przelatywało nad Rzymem i nad miastem watykańskim 90 alianckich samolotów. Ostrzeliwała je artyleria przeciwlotnicza, umieszczona za miastem, a niemieckie myśliwce wzniosły się w powietrze, nawiązując kontakt z samolotami alianckimi, z którymi stoczono w powietrzu szereg pojedynków lotniczych. Walki te toczyły się na wysokościach od 500 do 2.000 m.

„COMMANDOS"

ZURYCH 15.I. (R). — „Journal de Geneve" donosi o zamachu na oficerów niemieckich w Nicei, dokonanym zapewne przez oddział francuskich „commandosow", operujących z Korsyki. Nieznani sprawcy rzucili granaty ręczne do jednej z restauracji nicejskich, gdzie zgromadzeni byli oficerowie niemieccy. Wielu z nich odniosło poważne rany. Sprawcy następnie wsiedli do łodzi i uciekli. Tytułem represji Niemcy przesunęli godzinę policyjną dla kawiarń nicejskich na godzinę 9 wieczór.

TITO DLA GRECJI?

LONDYN, 15. I. (R) — Wicekomisarz spraw zagranicznych ZSRR, p. Kornijczuk wręczył wczoraj posłowi greckiemu w Moskwie notę, w której domaga się utworzenia w Grecji „zjednoczonego frontu wszystkich organizacji partyzanckich".

ANARCHIA W SOFII, PANIKA W BUKARESZCIE

SZTOKHOLM 15.I. (R) — Korespondenci pism szwedzkich w Ankarze donoszą, że w Bukareszcie i Sofii wybuchła w związku z położeniem na froncie wschodnim oraz z ofensywą lotniczą sprzymierzonych panika o niebywałych rozmiarach. W Bukareszcie odbyło się posiedzenie najbardziej znanych przywódców opozycji, którzy następnie udali się w ponownej delegacji do marsz. Antonescu. Miasto jest przepełnione uchodźcami z Bessarabii, dla których brak mieszczeń. Ceny rosną w zawrotnym tempie, a zamęt walutowy wzmaga się. Na czarnej giełdzie, gdzie przed dwoma tygodniami płacono jeszcze 3 tys. lei za funta angielskiego, cena funta wzrosła ostatnio do 8 tys. lei. Zamożni Rumuni wyprzedają się, by móc nabyć złoto, brylanty lub dewizy angielskie i amerykańskie. W Sofii, gdzie na rynku pieniężnym panują podobne stosunki, niepokój powiększa paniczna ewakuacja miasta. W czasie manifestacji na rzecz pokoju doszło w Sofii do krwawych zamieszek. Osiemnaście osób rozstrzelano. Zamieszki przybierają na sile; sytuacja w Sofii zbliża się do anarchii. Jak donosi radio Ankara, należy w Rumunii, Bułgarii i na Węgrzech oczekiwać doniosłych decyzji. Radio tureckie sądzi, że kraje te nie powinny czekać, aż także i dla nich minie termin, w którym mogłyby się wycofać z wojny: muszą one już dziś myśleć o ratunku.

O KAŻDE MIASTO I KAŻDĄ ULICĘ

SZTOKHOLM 15.I. (R). Przemawiając do żołnierzy jednego z „garnizonów anti-inwazyjnych" we Francji feldmarszałek Rommel oświadczył, jak donosi prasa szwedzka: „Musicie teraz czuwać nieustannie. Znajdujecie się w stanie najwyższego pogotowia. Nieprzyjaciel może w każdej chwili rozpocząć atak. Nie wolno wam niedoceniać nieprzyjaciela oraz jego sił. Będziemy na wybrzeżach walczyli tak samo jak w sercu Europy, a jeżeli zajdzie tego potrzeba, będziemy bili się o każde miasto i o każdą ulicę".

TYFUS WE WŁOSZECH

KAIR, 15.I. (R) — Szef amerykańskiej komisji do walki z tyfusem, brygadier L. A. Fox, oświadczył, że z Neapolu nie meldowano żadnych wypadków tyfusu wśród żołnierzy wojsk sprzymierzonych, lecz że epidemia tyfusu stanowi poważne zagrożenie dla wysiłku zbrojnego sprzymierzonych we Włoszech. „Problem ten otrzymaliśmy w spadku po Niemcach — oświadczył bryg. Fox — ponad 30 tys. Włochów dziennie otrzymywało proszek przeciwko robactwu. Poczyniono przygotowania, by położyć tamę dalszemu wzrostowi epidemii".

„NIKT NIE MÓGŁ PRZYPUSZCZAĆ"

SZTOKHOLM 15.I. (R). — W artykule wstępnym nowego wydania „Das Reich" Goebbels zwraca się do narodu niemieckiego i oświadcza: „Musimy wytrwać za wszelką cenę i bez względu na cierpienia, jakie mogą nas czekać jeszcze w tym krytycznym nowym roku, albowiem gdybyśmy mieli przegrać, byłoby to jeszcze tragiczniejsze i oznaczałoby koniec historii niemieckiej." Następnie Goebbels pisze: „Kiedy się wojna rozpoczęła, nikt nie mógł przypuszczać ile Niemcy będą musieli znieść i jak będzie wyglądał piąty rok wojny, lecz nikomu nie wolno dziś oskarżać innych, bo wojna toczy się obecnie o życie lub śmierć, a w takiej chwili nie ma już czasu na zastanawianie się nad popełnionymi błędami".

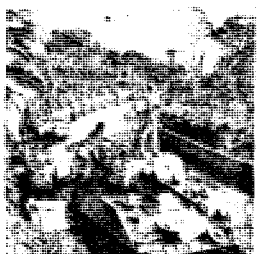

Czołgi w przemarszu

WIELKI NALOT na FORMOZĘ

MELBOURNE, 15.I. (R) — Z kwatery głównej wojsk sojuszniczych na południowym Pacyfiku donoszą: Dzisiejszy komunikat wojenny stwierdza, że w jednej z zatok Nowej Gwinei patrol lotniczy zaatakował japoński statek towarowy o wyporności 1.000 ton i wywołał na nim pożar. W rejonie Alexishafen średnie i ciężkie bombowce zrzuciły 104 tony bomb, powodując wielkie zniszczenia. Na półwyspie Huon siły lądowe sforsowały urwisty północny brzeg rzeki Kapugar. Lekkie jednostki morskie zatopiły trzy statki japońskie, przewożące wojsko oraz zniszczyły dwa transportowce pod Sio.

W rejonie Kavieng na Nowej Irlandii nocny patrol lotniczy zrucił bomby na japoński kontrtorpedowiec i uszkodził go. Na japońskie lotniska w okolicy Rabaul na Nowej Gwinei dokonano nalotów nękających z baz na wyspach Salomona.

W rejonie Arawe piechota dokonała po przygotowaniu artyleryjskim uwieńczonego sukcesem wypadu na pozycje japońskie. Srednie bombowce zaatakowały nocą doki i składnice w Ambon, wywołując liczne pożary.

CZUNGKING, 15.I. (R) — Formacja Liberatorów bez osłony myśliwskiej bombardowała japońską fabrykę aluminium w Takao na płd.-zachodnim wybrzeżu Formozy. Był to dopiero drugi nalot na Formozę. Atakowano również linie kolejowe pod Bangkokiem.

ŚWIEŻE SIŁY AMERYKAŃSKIE W POGOTOWIU

WASZYNGTON 15.I. (R) — Ministerstwa wojny i marynarki doniosły we wspólnym komunikacie, że załogi wojskowe na wybrzeżach Ameryki zostały znacznie zmniejszone tak, że żołnierze mogą być wysłani na zamorskie teatry wojny, gdzie są bardziej potrzebni.

SYDNEY 15.I. (R) — Z Nowej Gwinei donoszą, że Sio jest obecnie w zasięgu artylerii, która została podciągnięta wraz z nacierającą piechotą. Australijczycy doszli do rzek Kapugara bez przeszkód.

MELBOURNE 15.I. (R) — Z kwatery polowej gen. Mac Arthura donoszą, że wojska amerykańskie dokonały wypadu na pozycje japońskie pod Arawe, na płd.-zachodzie Nowej Brytanii. Bazy japońskie w Alexishafen, Rabaul i Cape oraz w St. George zbombardowano. Rzecznik kwatery głównej oświadczył, że główne siły inwazyjne wciąż jeszcze znajdują się na półwyspie Arawe.

NOWA REWOLUCJA PRZEMYSŁOWA W ANGLII

Anglia jest ojczyzną nowoczesnego przemysłu, ale do obecnej wojny kraj ten wahał się z przyjęciem nowych metod produkcji, powstałych w Ameryce, a tak skutecznie naśladowanych w Niemczech i w Rosji. Wojna ze swoimi wymaganiami uczyniła wyłom w konserwatywnej postawie Anglików. Zbudowano wielką ilość fabryk-gigantów, w których ustawiono maszyny tak udoskonalone, że obsługiwać je mogły dzieci. Ten przewrót umożliwił zatrudnienie w przemyśle wielu milionów kobiet, ale stworzył nieprzewidziane trudności.

Sprawą tą zajmuje się amerykański tygodnik „The Nation". „Można spotkać w Anglii ludzi, którzy nie przezwyciężyli jeszcze wewnętrznego oporu przeciwko metodom i technice, stosowanym wszakże przez nich z nakładem wszystkich sił." Jednym z pierwszych konfliktów, jakie ta nowa rewolucja przemysłowa wywołała w życiu społecznym Anglii, jest spór o zrównanie płac kobiet z płacami mężczyzn.

Formalnie i technicznie wymaganie to jest najzupełniej uzasadnione, gdyż wobec łatwości w obsługiwaniu nowych maszyn, praca kobiet nie jest wcale mniej wydajna od pracy mężczyzn. Ale zrównanie płac wywołałoby głębokie przemiany społeczne. Gdyby stary, wykwalifikowany robotnik nie otrzymywał wyższej płacy np. od swojej osiemnastoletniej córki stojącej przy sąsiedniej maszynie, zostałyby naruszone podstawy rodziny, która w życiu Anglii odgrywo tak wielką rolę. Dyrektor pewnej angielskiej fabryki zbrojeniowej tymi słowami sformułował swoją obawę: „Młoda dziewczyna mogłaby dojść do wniosku, że odpowiedzialność ojca za utrzymanie rodziny przestała istnieć." W ognisku rodzinnym powstałby zamęt.

Z drugiej strony zrównanie płac wydaje się wskazane, jeżeli wziąć pod uwagę, że po wojnie, gdy skończy się brak sił roboczych z powodu zamknięcia wielu fabryk przemysłu zbrojeniowego, płace mężczyzn mogłyby spaść do poziomu płac kobiet lub też mężczyźni mogliby stracić zajęcie na rzecz kobiet. A więc: zrównanie płac grozi rozkładem życia rodzinnego — niezrównanie zaś — obniżeniem stopy życiowej lub bezrobociem mężczyzn.

Konflikt ten można rozwiązać dwojako: przez przywrócenie starej, „naturalnej" różnicy między pracą wykwalifikowaną a niewykwalifikowaną, tj. przez usunięcie maszyn, które mogą być obsługiwane nawet przez dzieci — albo też przez znalezienie rynków zbytu dla towarów, które tak szybko, sprawnie i łatwo może wytwarzać współczesny przemysł.

Pierwszy sposób „The Nation" nazywa „kontr-rewolucją": usunąłby on co prawda niebezpieczeństwo bezrobocia komplikując na nowo procesy wytwórcze i zmuszając do zatrudniania większej ilości sił roboczych przy mniejszej produkcji, ale równocześnie cofnąłby rozwój techniczny. Drugi sposób natomiast wymaga wielkiej „pomysłowości przedsiębiorców i rządu". Ta pomysłowość w znajdowaniu nowych rynków zbytu jest tym bardziej konieczna, że dziś już „nawet powrót do normalnego przedwojennego poziomu produkcji spowodowałby wielomilionowe bezrobocie" — tzn. nawet gdyby zachować nowoczesne maszyny, a tylko ograniczyć ich wytwórczość do tego, co Anglia mogła zużyć lub sprzedać przed wojną — powstałoby w Anglii wielkie bezrobocie.

Nie miejsce zastanawiać się nad tym, co to znaczy „znaleźć nowe rynki zbytu", ile w tym postulacie jest ekonomii, a ile... polityki! Sprawa ta zresztą nie jest palącą — dopóki trwa wojna i produkcja nowego przemysłu angielskiego nie musi być sprzedawana na światowych rynkach, bo jest po prostu niszczona na polach bitew.

NAJSILNIEJSZA FORTECA JAPOŃSKA

Wojskowy komentator „Daily Mail" Simon Harcourt-Smith, zapewnia że grupa wysp wulkanicznych Truk na Pacyfiku odegra jeszcze wielką rolę w wojnie, gdy w Europie zapanuje pokój, który pozwoli jej wytężać się ze swoich ran.

Sądzi on, że Truk'a nie można porównywać z Gibraltarem, ponieważ jest stokrotnie trudniejszy do zdobycia.

Należy sobie wyobrazić trójkąt, którego każdy bok ma około 40 mil długości, usiany z raf koralowych dosyć ostrych, żeby rozpruć dno najpotężniejszego okrętu bojowego. W tym 120-milowym wale koralowym istnieją tylko cztery przejścia: na północy, północo-zachodzie, południu i zachodzie. Przez kręte i zawiłe kanały docira się do rozległej laguny Truk'a, bardzo głębokiej i spokojnej, która mogłaby wygodnie pomieścić wszystkie floty świata.

Laguna usiana jest ponad dwiema setkami wysp, z których 11 nadaje się do użytku. Japończycy nadali im nazwy dni i konstelacji. Pierwotnie charakter wszystkich wysepek był jednakowy: wulkaniczny stożek wznoszący się do 1500 stóp, z dwoma mniejszymi stożkami po bokach. Wszystko porośnięte palmami.

Japończycy dokonali zdumiewających zmian. Wydrążyli w górach groty na hangary dla samolotów i zrównali o ile można było (sprawdzić, w każdym razie jedną wyspę, zakładając na niej lotnisko. W rafach koralowych wydrążyli schrony dla łodzi podwodnych i wszędzie poustawiali działa przeciwlotnicze oraz reflektory. Założyli również suche doki, odlewnie i warsztaty, pozwalające na naprawę nawet największego okrętu bojowego.

Na Truk'u znajduje się lwia część floty japońskiej, co uniemożliwia frontowy atak na Japonię od południa. Ponieważ zaś Truk znajduje się w połowie drogi między Japonią a Pearl Harbour, Japończycy mogą z łatwością uprzedzić każdą amerykańską próbę desantu od tej strony.

Atak na Truk musiałby być wykonany z powietrza samolotami, operującymi z lotnisk owców przeciwko japońskim samolotom, które będą operowały z baz na wyspach. Możliwości wysłania łodzi podwodnych do laguny są minimalne. Nie ma również możliwości wygłodzenia tych wysp blokadą. Laguna obfituje w doskonałe ryby, które łącznie z słodkimi kartoflami, zasadzonymi tam przez Japończyków, wystarczą dla całej załogi na czas nieograniczony.

Zbyt łatwo — powiada Harcourt-Smith — zbywa się Japończyków mianem naśladowców. W Truk dostrzegli oni możliwości, których nie zauważyli ani Hiszpanie, ani Niemcy i stworzyli tu cud, nieznany od czasów Chińskiego Muru.

Wobec niemożliwości ataku frontalnego, Truk może być wyeliminowany tylko przez operację, która zmusi wielką flotę japońską do wyjścia z kryjówki.

PACZKI DO ROSJI
I INNYCH KRAJÓW ALIANCKICH
SZWAJCARSKI DOM WYSYŁKOWY I ADRESOWY
TEL-AVIV ul. Hess 1.
JEROZOLIMA ul. Ben Jehuda 2
„EGO"
REHOWOT Księgarnia Keibel naprzeciw Anglo-Palestyńskiego Banku
HAIFA ul. Hechaluz 59
ODDZIAŁY WE WSZYSTKICH KRAJACH ALIANCKICH

JANA SZUŁDRZYŃSKIEGO
DZIEJOWA IDEA PAŃSTWA POLSKIEGO
zawiera następujące rozdziały: I. Polska Piastów i Litwa Gedymina, II. Prawdy polityczne Grunwaldu, III. Ani Niemcy ani Rosja, IV. Trzeci Maj, V. Idea niepodległościowa, VI. Odrodzone państwo polskie, VII. Polska narodem państwowym, VIII. Spojrzenie w przyszłość.
Książka ta w cenie 200 mls pal. za egzemplarz jest do nabycia w redakcji „Dziennika Żołnierza APW", „Orła Białego", w Oddziale Propagandy i Oświaty D-twa APW, w Sam. Refer. Ośw. i Kult. i u oficerów oświatowych.

GABINET KOSMETYCZNY „IRYS"
TEL-AVIV — ul Geulah 6 II piętro
poleca się jako jedyna polska placówka.
ZABIEGI KOSMETYCZNE, PIELĘGNACJA SKÓRY
FARBOWANIE BRWI I RZĘS
ARTYKUŁY KOSMETYCZNE na MIEJSCU
Dla P.S.K. i rodzin wojskowych specjalne zniżki
Porad udziela się bezpłatnie.

To nie jest tylko pogłoska — ale prawda! — że
korzystnie kupić zegarki — złote wyroby — łańcuszki — krzyżyki — bransolety — pierścionki można TYLKO u zegarmistrza-jubilera
P. KATZ
Tel-Aviv
ul. Nachlat Beniamin 2
Własny warsztat

JAK
»Bracia Pakulscy« w Warszawie
TAK
„Lewiatan" W TEL-AVIV Allenby 70 tel. 2105
POLECA swój bogaty wybór
Wina, wódki, likiery, konserwy, szynki, kiełbasy w doskonałym gatunku

Rodzina twoja w kraju cierpi niedostatek, wyślij jej paczkę żywnościową

NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO
WALIZ I TOREBEK
WIELKI WYBÓR
UŻYWANYCH WALIZ, ORAZ KUFRÓW SZAFOWYCH
E. WIŚLICKI
TEL-AVIV, SYRKIN 1 (obok ulicy Ben-Jehuda)

CAMP EQUIPMENT
STRAUS
Poleca
EKWIPUNEK OBOZOWY:
SKŁADANE STOLIKI, SKŁADANE FOTELE
ŁÓŻKA POLOWE, MATERACE, PODUSZKI
ŚPIWORY, oraz wykonywa REPERACJE
TEL - AVIV
46 Allenby Rd. (róg ul. Jona Hanavi)

Wydawca: Oddział Propagandy i Kultury Dtwa Armii Polskiej na Wschodzie. Tłoczono w Drukarni Polowej A. P. W. Adres redakcji i administracji: Polforces ME 58